DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend

FOT. MAURIZIO MAULE/PA/PAP

Wszyscy jesteśmy nieregularni

/ M3

Analiza / M13

Ochrona zdrowia wymaga ochrony

Publiczna ochrona zdrowia notuje ciągły deficyt, ale pomysły rządu na oszczędności są zwyczajnie niebezpieczne

pisze Piotr Wójcik

Wywiad / M15

Co dajemy dzieciom

Używanie w instytucjach edukacyjnych telefonów należy ograniczyć. Trzeba jednak postawić właściwe pytanie: w czym to ma pomóc?

zastanawia się Magdalena Bigaj

Esej / M20

Wartości i geopolityka

Donald Trump może ogłosić zwycięstwo w wojnie ideologicznej przeciw Europie. Nawet u jego przeciwników obraz świata jest dziś trumpowski

zauważa Konrad Werner

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 65 (6734), 3–6 KWIETNIA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl aa0abfcd7b

Chiny / M10

Czego pokolenie Z zazdrości Chinom

Młodzi Amerykanie odkrywają, jak „żyć bardziej po chińsku". Fascynacja ta mówi mniej o Państwie Środka, a więcej o rosnącym rozczarowaniu ich własnym krajem

pisze Maria Wiśniewska

Gospodarka / M18

Duża sprawa z małym groszem

Dzisiaj drobne, zwłaszcza te najdrobniejsze, bardziej ciążą, niż czemuś służą. Gotówka nie może w Polsce zniknąć, ale myśleć trzeba, czy i jak pozbyć się groszy

zauważa Jan Cipiur

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Daru nie doceniliśmy, tajemnicy nie zobaczyliśmy

Jan Wróbel

Pamiętam, jak wiele, no, naprawdę wiele lat temu, radziliśmy w gronie redaktorów nad zapiskami Karola Wojtyły „Dar i Tajemnica". Papież, wiadomo, papież, redakcja (jak na ówczesne standardy) prawicowa jak się patrzy, zapiski autobiograficzne – nad czym tu myśleć? Co najwyżej nad tym, który fragment. A nie, narada dotyczyła tego, czy w ogóle.

Wojtyła wrócił w zapiskach do lat powojennych, podczas których posługiwał jako wikary w niewielkiej parafii w Niegowici. Umówmy się, można tak wspominać pracę ukształtowanego przez miasto duchownego wysłanego na wieś, że mamy gotowy serial. Tak np. stało się ze wspomnieniami weterynarza, J. Herriota, którego „Wszystkie stworzenia małe i duże" stały się światowym bestsellerem. Losy oraz charakterystyki parafian mogłyby dać paliwo zgrabnie napisanym „Zapiskom skromnego wikarego". Zwłaszcza że powojenny czas – właśnie padły nadzieje związane z legalną opozycją PSL, rozpanoszył się stalinizm, majaczyła się gdzieś niedopowiedziana powojenna historia Żydów – stanowił ciekawe tło opowieści.

Tyle że papież, pisząc „Dar i Tajemnicę", na potrzeby czytelników nie zważał. Napisał pouczenie skierowane do młodych księży bądź szykujących się do, jak mawia Kościół, posługi. Anegdoty zdarzają się rzadko i, broń Boże, nikogo nie szczypią. Dopiero ze wspomnień parafian możemy się dowiedzieć, jak Wojtyła rozruszał teatr („Dobierał do roli pod kątem charakteru. Ja miałam być niewidomą dziewczyną. Ale okazało się, że jestem za bardzo roztrzepana, zbyt żywa. I dostałam do zagrania córkę młynarza. Reżyserem ksiądz Karol był bardzo wymagającym. Pilnował, żeby dobrze nauczyć się roli, ładnie wymawiać swoje kwestie", wspominała Maria Trzaska dla „Gazety Krakowskiej". W innym miejscu wspomnień Marii dowiemy się, że kiedy jej brata pobito w UB, wikary skomentował: „Nie martw się. Oni sami się wykończą". Też, powiedzmy, wcale nie są to opowieści frywolne czy obrazoburcze). Wojtyła papież napisał książkę wspierającą tych, którzy mieli wejść na znaną mu drogę służby. Im anegdot nie potrzeba.

Wręczając mi tę książkę, ojciec Zięba, admirator Jana Pawła II, wzdychał: „Myślałem, że rozumiem tego faceta. A tu masz – ksiądz z Niegowici". Obaj myśleliśmy podobnie. Wielkie wyzwania epoki, Kościół na rozstajach, kapitalizm, postkomunizm i „Gazeta Wyborcza", a On pisze prostą, pobożną książkę o tym, że warto być prostym, pobożnym człowiekiem. W końcu ulegliśmy sile nazwiska i jakiś kawałek „Daru i Tajemnicy" opublikowaliśmy. Jak myślę dzisiaj, daru nie doceniliśmy, tajemnicy nie zobaczyliśmy. ©℗

FOT. JAM STA ROSA/AFP/EAST NEWS

Wywiad / M8

Punkt zwrotny

Trzeba zakładać, że niestabilna sytuacja na świecie utrzyma się przez następnych 10 czy 15 lat. Państwa muszą więc przeorganizować swoją politykę i gospodarkę

mówi Duncan Weldon

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

eprasa.pl aa0abfcd7b

Wszyscy jesteśmy nieregularni

FOT. MAURIZIO MAULE/PA/PAP

Coraz częściej ludzie nie oczekują już, że spowiednik będzie jak dobrze skonstruowany algorytm, który sprawdzi popełnione grzechy i wypluje pokutę. Chcą, by ich usłyszano

Z Maciejem

Biskupem

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Łączy nas coś więcej niż gromkie „k...a mać" rzucone po golu Viktora Gyökeresa, który pozbawił nas szans na mundial?

Faktycznie, ciężko o coś bezdyskusyjnie wspólnego, co byłoby tak mocno naładowane emocjami. (śmiech) Jeśli się spojrzy szerzej, można zauważyć, że z każdym rokiem mamy coraz mniej powodów, dla których przeżywamy wspólnotę – narodową czy lokalną – w jednym duchu. Ale to nie musi zawsze oznaczać czegoś złego.

Jak to? Spodziewałem się załamywania rąk nad polaryzacją społeczną.

Polaryzacja niszczy nasze relacje. Jednocześnie Polska to także różnorodność, która ma swoje emocje. Nie można od nich abstrahować. Gdybyśmy potrafili zaakceptować różnorodność jako coś oczywistego, byłoby nam się łatwiej spotkać w atmosferze szacunku. O tej różnorodności przypominał Jan Paweł II w „Pamięci i tożsamości", zwracając uwagę na to, że polskość to w gruncie rzeczy wielość i pluralizm, a nie ciasnota i zamknięcie. Powinny nas martwić negatywne emocje i to, że nie umiemy przyjąć tej różnorodności.

Na czym miałoby polegać to przyjęcie różnorodności?

Na wyzbyciu się lęku przed tym, że ktoś jest inny, inaczej myśli, inaczej rozumie otaczającą nas rzeczywistość, ma inne poglądy, sympatie, odruchy. Z jednej strony nasza tożsamość odwołuje się do wielkiej historii i dumy narodowej, ale z drugiej mam wrażenie, że jest to powierzchowne, a gdzieś głębiej siedzą w nas silne kompleksy. Bo gdy pojawiają się pytania o spójność i niezmienność tej tożsamości, wywołuje to w nas lęk. Skutek, pewnie spotęgowany przez algorytmy mediów społecznościowych, jest taki, że coraz bardziej zamykamy się w wygodnych bańkach, które łączą ludzi o pewnych wrażliwościach. I nie ma w tym niczego nadzwyczajnego. Ale bańki te są coraz bardziej przesiąknięte lękiem przed tym, czego można doświadczyć poza nimi.

Na ile święta Wielkiejnocy rozbijają bańki, w których żyjemy? Nawet jeśli nie na poziomie wiary w Zmartwychwstanie, to przynajmniej na poziomie wspólnoty.

Myślę, że w przypadku Wielkanocy mamy trochę mniej oczekiwań niż w przypadku Bożego Narodzenia. W grudniu często mam do czynienia z ludźmi, którzy mają emocjonalnego kaca po spotkaniach w rodzinnych domach. Nadzieje na ciepło, odbudowę relacji, zejście się po latach i naprawienie krzywd są wtedy większe. Wielkanoc może być okazją do rozbicia naszych baniek: wyobrażeń, jedynie słusznych poglądów, lęku przed wątpliwościami. Ale to trudne. Wymaga uważności i wzajemnego usłyszenia się.

Jak to zrobić? Niektórzy mają układ: przy mazurku i babce nie rozmawiamy o polityce, żeby nie prowokować awantury. Jednak dzisiaj wszystko może dzielić: bezpieczeństwo, ceny paliwa, a nawet ostatni list Episkopatu.

Z pewnością zbyt często zaczynamy rozmowy przy stołach z wysokiego C. Nie oznacza to, że trzeba rezygnować z wymiany zdań na ważne, trudne i kontrowersyjne tematy, ale nie ma pan wrażenia, że nierzadko przemawiamy do domownika czy dawno niewidzianego szwagra, zamiast z nim rozmawiać? Że mówimy hasłami, deklaracjami, paskami z telewizji, a kuleje podstawowa komunikacja? Oczywiście nie jest to tylko nasz problem. Dużo podróżuję po świecie i, ryzykując nadmierną generalizację, byłbym skłonny postawić tezę, że w polskim DNA jest on bardziej widoczny.

Ma tu ojciec jakieś złote rady?

Na pewno życzyłbym nam wszystkim więcej uważności na wzajemne dobro i afirmatywnego podejścia do siebie nawzajem. Dom to miejsce, w którym mamy prawo oczekiwać, że ▷

eprasa.pl aa0abfcd7b

zostaniemy dostrzeżeni w tym, co jest naszym najgłębszym przeżyciem. Wracam ostatnio do prostego, ale świeżego zdania, które zostawił po sobie papież Franciszek: „Wolę pytania niż odpowiedzi". W pytaniach jesteśmy bardziej szczerzy, otwarci, jest w nas jakaś kruchość; w odpowiedziach jesteśmy często deklaratywni na wyrost. Jeszcze raz powtórzę: więcej uważności i docenienia tego, co najbardziej podstawowe i fundamentalne w relacjach, np. tego, że w tle kwili pana córka, którą zaraz pan będzie musiał uspokoić, przytulić...

Ale wciąż zostaje pytanie: czy to nie jest ucieczka od tego, żeby się znowu nie pokłócić o Tuska i Kaczyńskiego?

Rozmawiać, ale z dystansem i łagodząc temperaturę. Sam jestem zaangażowany w wiele spraw społecznych i publicznych, ale staram się wkładać wysiłek w to, by nie zdominowały one codziennych relacji i spotkań. Te kilka świątecznych dni jest okazją, by się zatrzymać. Czasem także dosłownie.

Za chwilę ojciec ma wieczorny dyżur w konfesjonale. Mocno się zmieniło przez ostatnie lata to, z czego i jak ludzie się spowiadają?

Spowiadam już prawie od 28 lat. Głównie w dużych miastach, ale regularnie jeżdżę też na rekolekcje do mniejszych miejscowości. Zmieniło się sporo. Spowiedzi jest dziś mniej, ale stają się bardziej świadome i głębsze. Coraz częściej ludzie nie oczekują już, że spowiednik będzie jak dobrze skonstruowany algorytm w aplikacji bazującej na sztucznej inteligencji, który sprawdzi popełnione grzechy i wypluje pokutę. Ci, którzy przychodzą do spowiedzi, chcą rozmowy, towarzyszenia, obecności. Chcą, by ich usłyszano. Pamięta pan dużą dyskusję po adhortacji „Amoris Laetitia"?

W wielu katolickich kręgach nie była to tylko dyskusja, lecz sroga awantura o otwarcie furtki, która dopuściła do Eucharystii rozwodników czy osoby w nieuregulowanych związkach.

A przecież wszyscy jesteśmy nieregularni. Nie ma się co dziwić, że ludzie chcą dostrzeżenia tej okoliczności oraz księdza, który nie tylko odhaczy grzechy i zapuka w kratki konfesjonału, lecz kogoś, kto pomoże działać Bożemu Miłosierdziu w głębokim znaczeniu i rozumieniu tego słowa. Potrzeba tu mądrego towarzyszenia duchowego; nie tyle dyrektywnego kierownictwa, ile wspólnego szukania zamysłu Boga. To wymaga, po pierwsze, uszanowania prymatu sumienia, a po drugie, umiejętności słuchania zarówno u penitenta, jak i u spowiednika. Święty Tomasz z Akwinu przy ocenie moralnej podkreślał okoliczności, a nie tylko materię grzechu. Wymaga to cierpliwego rozeznania.

Wielki Tydzień to taki czas, kiedy do konfesjonałów ustawiają się kolejki, a do kościołów przychodzą tłumy. Można by podejrzewać, że nie ma kryzysu Kościoła w Polsce.

To byłby daleko idący optymizm, a jak lubi powtarzać ks. Tomáš Halík: optymista to po prostu ktoś tylko niedoinformowany. (śmiech) Kryzys jest faktem, a wypracowanie na niego odpowiedzi wciąż jest wielkim zadaniem. W tym miejscu trzeba wracać do klasyków, takich jak ks. Józef Tischner, który mówił, że chrześcijaństwo jest ciągle przed nami. Przed szybkim i często politycznym chrystianizowaniem Europy nie zawsze szła realna ewangelizacja, więc jednocześnie następowała sekularyzacja, która dziś osiągnęła wielką skalę. Ale ten kryzys – z greckiego: przełom – może być szansą na świadomie wybrane i przeżyte egzystencjalnie chrześcijaństwo. To wymaga większej dojrzałości, osobistej odpowiedzialności i otwartości na to, by mnie zwołało do wiary Dobre Słowo, czyli Ewangelia.

Na ile odpowiedzią na ten kryzys mogą być zmiany w hierarchii kościelnej? Wiele osób z nadzieją patrzy na kardynałów Rysia i Krajewskiego, są też biskupi, tacy jak: Galbas, Muskus czy Ważny.

Daleki jestem od naiwnego podejścia, że jak zmienią się konkretni hierarchowie, to kryzys minie. Oczywiście ma on swoje źródło w głębokim kryzysie duchowieństwa, na co zwracał uwagę papież Franciszek, mówiąc o klerykalizmie i kastowości, która w pewien sposób wyłącza księży z ludu Bożego. Zmiana musi się zacząć od wspólnego przeżywania wiary. Ksiądz Halik pisał w „Popołudniu chrześcijaństwa", że przez wieki byliśmy skupieni na tym, w co wierzymy, a dziś trzeba zaakcentować to, jak razem w to wierzymy, bez paternalizmu i infantylizowania wiernych. I taką postawę dostrzegam u wymienionych przez pana hierarchów.

Zaskoczyły ojca reakcje na list Episkopatu dotyczący relacji chrześcijaństwa i judaizmu?

Same reakcje pewnie nie, ale ich skala – tak. Jeśli ktoś uczciwie i bez uprzedzeń zerknie do tego listu, to nie znajdzie w nim żadnej nowości i przełomu. Od czasu „Nostra aetate" z Soboru Watykańskiego II, niezależnie od papieża, utrzymywana jest ta sama linia, gdy chodzi o podejście chrześcijaństwa do judaizmu. List Episkopatu tylko to potwierdza. Reakcje odsłaniają zaś problem mniej lub bardziej zakamuflowanej formy marcjonizmu, czyli myśli-herezji z II w., która traktowała judaizm jako „religię tego świata" i odrzucała związek chrześcijaństwa z nim, a nawet kanon Starego Testamentu.

Może to nie kwestia marcjonizmu, lecz tego, że nie żyjemy w próżni. Biorąc pod uwagę działania Izraela w Palestynie, timing tego listu nie był, delikatnie mówiąc, idealny.

Dużo o tym ostatnio myślałem. Na Ewangelię zawsze jest dobry czas. Zgodziłbym się z zarzutem dotyczącym wyczucia czasu, gdyby w liście był choć cień polityki. Ale przecież nie chodzi w nim o państwo Izrael i działania Netanjahu, tylko o to, by chrześcijanie spojrzeli na swoją własną tożsamość trochę szerzej i dostrzegli to, o czym mówił Jan Paweł II: że judaizm nie jest religią zewnętrzną wobec tego, co wyznajemy. Rozumiejąc pana wątpliwości, warto zapytać: a czy list polskich biskupów do biskupów niemieckich w 1965 r. był wystosowany w dobrym momencie? Oczywiście, że nie – mieliśmy żelazną kurtynę, z RFN nie było wtedy żadnych relacji, a stosunki z NRD były zakłamane i narzucone przez Sowietów. Słowa o wybaczaniu padły zaledwie 20 lat po wojnie. Żeby sobie uzmysłowić, jak krótki to czas, przypomnę, że 20 lat temu umarł Jan Paweł II. List z 1965 r. też odbierano na poziomie politycznym, choć była to czysta Ewangelia. Ten ostatni list dotyczący judaizmu też nie wziął się znikąd – mieliśmy 40. rocznicę pojawienia się polskiego papieża w synagodze. To był realny przełom, a nie tylko kurtuazyjna wizyta.

Może reakcje na ten list pokazują, że episkopat stracił autorytet u części wiernych?

A może nie chodzi tu wyłącznie o rocznicę wejścia do synagogi czy timing związany z wojną, lecz o klimat, który tworzą politycy tacy jak Grzegorz Braun, który wydobywa z ludzi to, co kiedyś było wstydliwe i co wypadało przemilczeć. Może list Episkopatu jest też sygnałem, że Kościół w Polsce nie powinien milczeć w dzisiejszej rzeczywistości. Znam kościoły, w których księża ostentacyjnie odmawiali jego lektury albo czytali z zastrzeżeniem – i to publicznym – że przyrzekali posłuszeństwo biskupowi, ale się z nim nie zgadzają.
Wielu mówi: „jak można pisać o wybraniu Żydów, skoro współczesne państwo Izrael odpowiada za tyle przemocy". A przecież – bez zakładania szat symetrysty w tak wrażliwej sprawie – warto zauważyć, że silnie sprzężone politycznie z „władcami tego świata" chrześcijaństwo ma na swoim sumieniu brutalne mordy, okupacje i masakry. Srebrenica, Wołyń, Bucza, pogromy Żydów... Jakiś czas temu kardynał Ryś mówił, że „Zagładę stworzyli ludzie, w dużej mierze – trzeba to powiedzieć niestety, z bólem serca – ludzie, których wychowywały Kościoły chrześcijańskie na swoich nabożeństwach". A jednak ani wtedy nikt nie postulował, ani nie robi tego dziś, by nie mówić o wybraniu chrześcijan przez Boga. Bóg wybrał Żydów i chrześcijan niezależnie od ich kondycji moralnej. To wybranie jest niepodważalne, gdyż „dary łaski i wezwanie Boże są nieodwołalne", jak pisze św. Paweł w Liście do Rzymian. ©℗

FOT. MAT. PRASOWE

Maciej

Biskup OP

dominikanin i duszpasterz. Mieszka w klasztorze w Łodzi, jest związany z Dominikańskim Ośrodkiem Kaznodziejskim

Świat

Wojna Putina, wojna Trumpa

Czy da się rozpętać wojnę, opierając się na błędnych założeniach, przegrać, a potem nie tylko zachować władzę, ale nawet ją wzmocnić? Władimir Putin testuje to od kilku lat, Donald Trump od miesiąca

Witold

Sokała

Stany Zjednoczone to rzeczywiste supermocarstwo militarne, ekonomiczne i technologiczne. Rosja to „stacja benzynowa z rakietami", której co prawda śni się powrót do potęgi z najlepszych czasów Związku Radzieckiego i do kontrolowania połowy świata, ale która nie ma już prawie żadnych realnych atutów w ręku. A jednak te dwa bardzo różne państwa rozpętały wojny dość podobne co do mechanizmów prowadzących do ich wybuchu, przebiegu, konsekwencji dla systemu międzynarodowego, a być może także skutków.

Kwestia uzasadnienia

Rzecz jasna, różnice nie dotyczą tylko USA i Rosji – Iranu i Ukrainy także. Ta ostatnia nie zagrażała militarnie swoim sąsiadom, nie prowadziła też na ich terytoriach działań dywersyjnych. Owszem, miała swoje wewnętrzne deficyty i problemy, ale jej rządy nie dopuszczały się masowych morderstw na własnych obywatelach (wbrew opowieściom rozpowszechnianym przez służby informacyjne Kremla). I to obywatele Ukrainy w pewnym momencie masowo uznali, że mają już dość korupcji, bylejakości i nędzy. Postanowili więc naprawić swoje państwo i w tym celu wstąpili na ścieżkę

eprasa.pl aa0abfcd7b

FOT. SERGEY BOBYLEV/SPUTNIK/KREMLIN POOL/EPA/PAP

Władimir Putin i Donald Trump w amerykańskiej bazie lotniczej w Anchorage na Alasce. 15 sierpnia 2025 r.

mającą poprowadzić do integracji z Unią Europejską. Rosja uznała to za zagrożenie dla siebie i ruszyła na wojnę. Najpierw lekko zamaskowaną (próba otrucia prezydenta Wiktora Juszczenki, wsparcie „separatystów" w Donbasie, „zielone ludziki" na Krymie). Potem – w lutym 2022 r. – już jawną i pełnoskalową. Obliczoną nie tylko na podporządkowanie sobie samej Ukrainy, a po drodze na zniszczenie jej narodowej tożsamości, ale też na skompromitowanie całego Zachodu jako słabego i bezradnego wobec rosyjskiej potęgi.

Z Iranem rzecz ma się inaczej. Rządzący nim od prawie półwiecza reżim szyickich fundamentalistów postawił na masowe łamanie praw człowieka – i na destabilizowanie sytuacji u sąsiadów, przewrotnie widząc w tym gwarancje swego własnego bezpieczeństwa. Konsekwentnie dążył też do fizycznej likwidacji państwowości izraelskiej. W ramach tej polityki postanowił wejść w posiadanie broni jądrowej i zapisał się do globalnej „osi zła", maczając palce w wielu operacjach szpiegowskich i dywersyjnych na jej rzecz, także poza regionem Bliskiego Wschodu. Próby spacyfikowania tego reżimu mają więc całkiem porządne uzasadnienie moralne i polityczne – w przeciwieństwie do rosyjskiej chęci zniszczenia suwerenności i aspiracji Ukrainy.

Może dlatego Putin zadbał zawczasu o możliwie solidne przygotowanie gruntu pod swoją agresję pod względem propagandowym, wspierając antyukraińskie środowiska w państwach trzecich i nakręcając nacjonalistyczno-imperialne resentymenty na własnym podwórku. Trump zlekceważył ten element, co może wynikać zarówno z mniejszych kompetencji ekipy rządzącej obecnie w USA, jak i z przekonania o własnej słuszności i oczekiwania z tego tytułu masowego poparcia. Tak czy inaczej, w przeciwieństwie do Putina, prezydent USA niemile zaskoczył sporą część swych zwolenników, bo obiecywał im przecież zakończenie udziału w egzotycznych wojnach i koncentrację na problemach wewnętrznych, a nie pakowanie się w nowe, krwawe awantury.

Myślenie życzeniowe

Niezależnie od tego, że Rosjanie latami i bardzo konsekwentnie przygotowywali się do ostatecznego uderzenia na Ukrainę, a Amerykanie weszli do Iranu raczej z biegu, niesieni „potrzebą chwili", w obu przypadkach ewidentnie popełniono podobne błędy koncepcyjne.

Otoczenie Trumpa złożone jest w dużej mierze z klakierów drżących o to, by nie wypaść z łask szefa. Na dworze Putina niezależne myślenie także nie jest w cenie (w państwie autorytarnym, z elitami mentalnie przetrąconymi dziedzictwem jarzma mongolskiego, jedynowładztwa carów i realnego komunizmu, nie jest to jednak aż tak dziwne, jak w anglosaskiej demokracji). Efekt: nikt nie chce być posłańcem przynoszącym złe wieści. Złe – czyli sprzeczne z tym, co już ułożył sobie w głowie przywódca.

Swego czasu nieśmiało spróbował szef rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego Siergiej Naryszkin. Za to, że nie wykazał należytego entuzjazmu wobec ataku na Ukrainę, został publicznie spostponowany przez Putina. Mechanizm był więc z grubsza taki: niższej rangi oficerowie służb i analitycy raportowali o problemach, ale ich kolejni przełożeni poprawiali te meldunki i analizy, aż na samym szczycie piramidy lądowała słodka laurka. Podejmując decyzję o pełnoskalowej agresji, Putin najprawdopodobniej nie doszacował ani konsolidacji państwa ukraińskiego po 2014 r., w tym znacznego wzrostu siły bojowej jego armii, ani skali korupcji i niekompetencji we własnych służbach i w siłach zbrojnych. Nie przewidział też stopnia determinacji kluczowych państw Zachodu, by tym razem zareagować znacznie ostrzej niż w czasie rosyjskiej agresji na Gruzję czy aneksji Krymu. Zachował się więc tak, jakby nie wiedział o rzeczach, o których mówili wtedy liczni analitycy (w tym niżej podpisany), opierając się wyłącznie na źródłach „białych" (czyli ogólnodostępnych), wskazując, że ta wojna, o ile wybuchnie, jest z punktu widzenia interesów samej Rosji absurdalna i niebezpieczna, bo przyniesie jej znacznie więcej strat niż korzyści.

Nauczka dla analitycznych mądrali – Putin tę wojnę mimo to rozpoczął. Z wiadomym skutkiem: Rosjanie ugrzęźli dosyć beznadziejnie, na przełom operacyjny nie mają sił, gospodarka cywilna została zrujnowana, najlepsze rynki energetyczne utracone raczej bezpowrotnie. Jedyne, co znacząco wzrosło, to wasalne uzależnienie od Chin.

Analogie w przypadku USA? W sobotę, 28 lutego, gdy pierwsze amerykańskie rakiety spadały na Iran, napisałem na łamach DGP, że ten atak jest co prawda w interesie Izraela, ale nie Stanów Zjednoczonych, gdyż upadek reżimu ajatollahów jest bardzo mało prawdopodobny, podobnie jak masowe powstanie ludowe przeciwko ich rządom. Że same ataki z powietrza niczego nie załatwią i prędzej czy później Waszyngton stanie w obliczu bardzo trudnej decyzji o operacji lądowej. Że spodziewane „odstrzelenie" liderów Republiki Islamskiej i jej generałów spowoduje jedynie zastąpienie ich innymi, a korzyści strategiczne odniesie głównie Putin – dzięki ostatecznemu odwróceniu uwagi świata od wojny w Ukrainie, a przede wszystkim turbulencjom na rynku ropy i gazu, które umożliwią mu powrót do roli względnie atrakcyjnego dostawcy tych surowców. Było to raczej oczywiste dla każdego, kto choć trochę rozumie logikę bezpieczeństwa międzynarodowego i potrafi konstruować proste ciągi przyczynowo-skutkowe.

Prywatyzacja korzyści

Swoją rolę odegrały zapewne: skłonność liderów do myślenia życzeniowego, ich niechęć do słuchania kompetentnych doradców, a także niedrożność wewnętrznych kanałów informacyjnych. Zaistniał jednak też inny czynnik – rozbieżność pomiędzy długofalowym interesem państwa i narodu a doraźnymi korzyściami grupy trzymającej władzę. Korzyściami politycznymi (w obu przypadkach bez wątpienia była to chęć odwrócenia uwagi od kłopotów i porażek na innych polach), a przede wszystkim ekonomicznymi.

To prawda, że dla wielu bogatych Rosjan wojna przeciwko Ukrainie okazała się finansowym kataklizmem. Natomiast inni, będący najbliżej obozu władzy, potrafią się bogacić także wtedy, kiedy państwo biednieje, a zwykłym obywatelom zagląda w oczy nędza. Najbardziej zaś ci, którzy zarabiają na produkcji na potrzeby wojska, i ci, którzy mają dostęp do sowitych łapówek w tym sektorze.

Nic nowego w przypadku Rosji, ale warto zauważyć ryzyko analogicznego mechanizmu w Stanach. Właśnie wszczęto tam działania mające wyjaśnić okoliczności próby zakupu dużego pakietu akcji Black Rock Defense ETF (funduszu obejmującego aktywa takich potentatów przemysłu zbrojeniowego jak Lockheed Martin czy Northrop Grumman), za grube miliony dolarów, którą miał tuż przed rozpoczęciem ataków na Iran podjąć makler działający w imieniu sekretarza wojny Pete'a Hegsetha. Pentagon co prawda natychmiast zaprzeczył tym doniesieniom, lecz to już kolejny przypadek, gdy strategiczne działania administracji Trumpa okazują się dziwnie zbieżne z kierunkami biznesowych inwestycji tajemniczych, ale dobrze poinformowanych graczy.

Tak było z pozornie nieuzasadnionymi przepływami na amerykańskich giełdach, gdy rok temu Trump ogłaszał „pauzę taryfową", gdy w styczniu 2026 r. porywano prezydenta Wenezueli Nicolasa Maduro, pod koniec lutego, gdy USA atakowały Iran, i gdy 23 marca Trump ogłaszał pięciodniowe opóźnienie uderzenia w irańską infrastrukturę energetyczną. Jednocześnie dokonywano wielu dziwnie trafnych i hojnych zakładów, m.in. na platformie Polymarket, gdzie hazardowo typuje się prawdopodobieństwo pewnych wydarzeń politycznych. Za każdym razem ktoś dysponujący zasobnym portfelem miał wręcz nieprawdopodobny instynkt. Firma analityczna Bubblemaps zidentyfikowała sześć kont, które osiągnęły łączny zysk w wysokości 1,2 mln dol. jedynie z poczynionych na parę godzin przed nalotami z 28 lutego zakładów dotyczących rozwoju wydarzeń wokół Iranu.

„Forbes" ujawnił niedawno, że osobisty majątek Donalda Trumpa od chwili objęcia przezeń urzędu wzrósł z 3,0 do 6,5 mld dol. Prywatny majątek Putina oficjalnie nieco przekracza 0,5 mln dol. Zdaniem niektórych w rzeczywistości sięga nawet 1 bln dol., co jest raczej szacunkiem przesadnym, ale i tak rosyjski dyktator zapewne nie jest biedniejszy od prezydenta USA.

Ta skłonność do generowania zysków po stronie prywatnej przy jednoczesnym narażaniu na poważne straty sfery publicznej może po części tłumaczyć dobre relacje osobiste pomiędzy Putinem i jego negocjatorem Kiryłłem Dmitriewem a Trumpem, Jaredem Kushnerem czy Steve'em Witkoffem. I przy okazji może pomóc zrozumieć część ich decyzji – błędnych jedynie z punktu widzenia interesów państwa, którym władają.

Kompromitacja agresora?

Rosja po czterech latach pełnoskalowej wojny przeciwko Ukrainie nie ma ▷

eprasa.pl aa0abfcd7b

powodów do ogłaszania sukcesu. Warto dostrzec, że jej propagandyści mocno spuścili z tonu – jako wielkie zwycięstwa ogłaszają np. zdobycie zrujnowanej wioski albo kolejnych kilometrów pustego stepu. Nie mają innego wyjścia. Przyznanie, że ta wojna (według nich „specjalna operacja wojskowa") od początku była błędem, byłoby morderczym ciosem nie tylko w pozycję samego lidera i najbliższego kręgu jego doradców (i beneficjentów), lecz także w cały paradygmat, na którym przynajmniej od 20 lat (czyli od krachu nieśmiałych reform liberalnych, które podejmowano na początku prezydentury Putina) opiera się rosyjska polityka państwowa. Trzeba więc brnąć, licząc na wewnętrzną odporność systemu, ale też na nadejście korzystnej koniunktury międzynarodowej. Takiej, która pozwoli zakończyć wojnę na swoich warunkach albo przynajmniej na takich, które uda się tak przedstawić.

Prezydentura Trumpa pod wieloma względami stanowi element tej koniunktury. Co prawda przyniosła ona Rosjanom oczywiste kłopoty wynikające z wielomiesięcznej presji Amerykanów na zbicie globalnych cen ropy, a także z sankcji wtórnych, którymi Waszyngton zagroził odbiorcom chińskim czy indyjskim, ale było to przynajmniej częściowo rekompensowane na innych płaszczyznach. Zwłaszcza przez zmniejszenie pomocy dla Ukrainy, ale także poprzez działania rozbijające spójność strategiczną Zachodu, w tym groźby militarne i ekonomiczne wobec sojuszników oraz wspieranie jawnie proputinowskich dywersantów w państwach członkowskich NATO – od Viktora Orbána na Węgrzech po niemiecką AfD.

Swoją wojną przeciwko Iranowi Trump dał Putinowi dodatkowe wytchnienie i nadzieję. A jednocześnie sam staje coraz wyraźniej w podobnej sytuacji. Uderzył zbrojnie w dużo słabszego przeciwnika, którego poważne mocarstwo powinno zgnieść błyskawicznie i bez wysiłku, ale nie odniósł spektakularnego sukcesu. Brak triumfu oznacza więc faktycznie porażkę. Tymczasem zwycięstwem tego mniejszego, zaatakowanego podmiotu jest już to, że nie przegrał. Że trwa, że oddaje niektóre ciosy i że może boleśnie drwić z przeciwnika w mediach społecznościowych.

Dla imperialnego napastnika oznacza to ryzyko spadku autorytetu w relacjach międzynarodowych i w polityce wewnętrznej. Putin zdołał ów trend spacyfikować, choć nie bez kłopotów. Trump ma trudniej, bo jednak nie jest dyktatorem, a Amerykanie różnią się od Rosjan kulturą polityczną, w tym skłonnością do szybkiego rozliczania nieudolnych przywódców. Politycy państw potencjalnie (wciąż, mimo wszystko) sojuszniczych też swój rozum mają. Opinia publiczna podobnie.

Potęga propagandy

Cała ta czereda malkontentów jakoś nie kupuje oficjalnych narracji Białego Domu, natomiast jest coraz bardziej zaniepokojona cenami ropy, nieprzewidywalnością dalszych działań USA, poważnym ryzykiem recesji i kryzysu o skali globalnej, wzrostem zagrożeń asymetrycznych. Na amerykańskim rynku wewnątrzpolitycznym Partia Demokratyczna wyraźnie zwietrzyła krew i szykuje się do wygrania wyborów połówkowych, więc Trump ma właściwie jedno wyjście. Takie samo jak Putin. Jeśli nie jest zdolny wygrać swojej wojny „w polu", musi wmówić jak największej grupie ludzi, że jest inaczej.

Narastający chaos w wypowiedziach Trumpa i jego współpracowników to zapewne element tej strategii. Jeśli wypowiedzi są sprzeczne, to rośnie szansa, że któraś spodoba się określonej grupie zwolenników, którzy jednocześnie wyprą ze świadomości te pozostałe. Ale pojawiają się też inne działania. W mediach społecznościowych, także polskich, daje się w ostatnich dniach zauważyć ogromną aktywność i wzrastającą popularność przynajmniej kilkudziesięciu kont (w tym niektórych świeżo założonych, preferowanych przez algorytmy, którymi zarządzają Elon Musk i spółka).

Przekaz jest bardzo podobny: oto Trump rozgrywa wieloletnią partię szachów, może nieuchwytną dla maluczkich, ale genialną. Naprawia błędy i zbrodnie Obamy i Bidena, a także ich europejskich odpowiedników. Uderzając w Iran, automatycznie pognębia także Chiny i Rosję (które podobno już „błagają o łaskę"), a przy okazji czyni wielkimi i bogatymi wszystkich oddanych sojuszników USA (Polskę też). Marchewka jest zaiste imponująca – w jednym z tego rodzaju wpisów można było przeczytać o Polsce jako o potędze przemysłu dronowego, a jednocześnie hubie dla amerykańskiego gazu i atomu (sic!) w całej Europie, i to nie za ileś lat, ale już w tej chwili. Rosnące ceny paliw są w tej wizji właściwie dobrodziejstwem dla ludzkości, wojna przeciwko ajatollahom jest de facto wygrana, a gwiaździsty sztandar łopoce w tle niczym w zakończeniu starego westernu.

Odrobina prawdy miesza się w tych wpisach z całkowitą fikcją, ale przedstawianą z namaszczeniem, nierzadko jako podparte wieloma liczbami analizy. Dla pamiętających propagandę PRL powinno to być łatwe do wyłapania. Ale, o dziwo, nie jest. Nawet skądinąd poważni ludzie kupują ten przekaz bezkrytycznie, bo pasuje im to do wcześniejszych przekonań albo po prostu chcieliby uwierzyć, że jest dobrze. Dają więc lajki, powielają wpisy, wysyłają znajomym. Niekiedy naprawdę masowo. I kula śnieżna się toczy.

Fakty kontra profesjonalna propaganda – to nie jest równa walka. W dzisiejszych realiach może się okazać, że to spece od tej drugiej okażą się ważniejsi (bo efektywniejsi) od żołnierzy. Porażkę w realnych działaniach wojskowych da się przekuć w polityczne zwycięstwo w infosferze, a w konsekwencji w sukces polityczny (i/lub biznesowy). Jeśli Trump, Putin albo obaj zdołają ostatecznie wyjąć głowy z pętli, w którą sami się wpakowali, to będzie to istotna wskazówka dla naukowej i praktycznej „konfliktologii". I zła wiadomość dla ludzkości. ©℗

Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

Internet i intuicja Kremla

Kilkanaście dni temu mer stolicy Rosji zapowiedział zwolnienie 15 proc. urzędników i zmniejszenie wydatków ratusza o 10 proc. Aby pojąć ciężar gatunkowy tych decyzji, trzeba dobrze znać Rosję

Piotr
Skwieciński

Moskwa jest dla całej Rosji nie tylko centrum, lecz także dumą. Poziom życia w stolicy jest obiektywnie wysoki, a przede wszystkim nieporównywalnie wyższy niż gdziekolwiek indziej. Rosjanie spoza Moskwy trochę jej zazdroszczą uprzywilejowania, ale przede wszystkim – traktują ją jako symbol całego kraju, jego powodzenia i sukcesu. I aspiracji – państwa oraz własnych. Dobrobyt i rozwój Moskwy jest w ich oczach dowodem, że może nie wszystko jest jak trzeba, ale ogólnie – kraj zmierza we właściwym kierunku.

Zarazem, mimo że formalnie nazywa się współcześnie Federacją, jest Rosja krajem skrajnie centralistycznym. I cała jej historia dowodzi, że mimo, iż ogromna większość jej ludności żyje poza oboma stolicami (Sankt Petersburg wciąż zachowuje honorowe miano drugiej stolicy), to pod względem politycznym przyszłość określa bez reszty wola Moskwy. Innymi słowy – jeśli władza centralna jest w Moskwie lubiana, a przynajmniej tolerowana, to nie zagraża jej nic, nawet gdyby nie cierpiała jej reszta kraju. Gdyby natomiast Moskwa zbiesiła się i zechciała zbuntować, władza stanęłaby nad przepaścią – nawet gdyby regiony (jak w Rosji określa się prowincję) nie podzielały emocji ludności stolicy.

Obie przytoczone okoliczności wystarczają do tego, by decyzję Kremla (bo przecież mer stolicy Siergiej Sobianin nie podejmował jej samodzielnie) o przykręceniu kurka Moskwie potraktować jako przejaw czegoś poważnego.

Tym bardziej że rzecz ma miejsce w piątym roku wojny. Wojny, której armia rosyjska nie potrafi wygrać, w czasie której natomiast, do niedawna, władze centralne chciały i potrafiły demonstracyjnie zalewać kraj i społeczeństwo falami pieniędzy. Pieniędzy dystrybuowanych bezpośrednio (żołd dla ochotników na front, odszkodowania dla rodzin poległych, pensje w zbrojeniówce, niezmniejszane a wręcz zwiększane świadczenia społeczne itd.), ale też pośrednio – przez rozbuchane inwestycje w infrastrukturę i projekty modernizacyjne. Działo się to w całym kraju, ale zwłaszcza w Moskwie, będącej dla reżimu oknem wystawowym. I propagandowym. Skierowanym na świat zewnętrzny, ale i do wewnątrz – do ludności i stolicy, i kraju. Przekonującym, że wojna na nic negatywnie nie wpływa, że państwo rosyjskie ma się świetnie. Jeśli więc znająca wszystkie te uwarunkowania władza teraz postępuje tak, jak postępuje, znaczy to, iż ma ku temu poważne powody.

Tu przeskok do – pozornie – zupełnie innej tematyki.

Staroświecki czar shutdownu

W Moskwie (w ścisłym centrum oraz w kilku dzielnicach położonych peryferyjnie) w marcu przez trzy tygodnie nie działał internet mobilny. Władze w żaden sposób nie informowały ani o jego wyłączeniu, ani o przywróceniu, ani o przyczynach sytuacji; enigmatycznie bąkały tylko o „względach bezpieczeństwa". Nieoficjalnie mówiono o ukraińskich dronach, które wykorzystują rosyjski bezprzewodowy internet w nawigacji.

Istotnie wykorzystują. I istotnie odnotowano ostatnio dużą falę ukraińskich ataków na cele położone i w Moskwie, i w reszcie kraju. Ale rosyjskie drony (bijące w Ukrainę na skalę znacznie większą niż ukraińskie uderzające w Rosję) również wykorzystują internet przeciwnika (ukraiński) – i Kijów rozważał nawet, by dla zmniejszenia ich skuteczności wyłączyć sieć bezprzewodową, jednak ostatecznie zrezygnował z pomysłu. Jednak w Rosji wyłączenia nie ograniczyły się do rejonów atakowanych przez Ukraińców. Już od roku internet mobilny nie działa np. na Kamczatce, miejscu najbardziej ze wszystkich oddalonym od fron-

eprasa.pl aa0abfcd7b

tu. Prawie nie ma regionu, w którym w ciągu ostatniego roku nie byłby on wyłączany na dłużej lub krócej, często dotyczy to też internetu stacjonarnego.

Przy czym oprócz dłuższych lub krótszych totalnych shutdownów mamy do czynienia ze spowalnianiem pracy sieci, co dotyczy zwłaszcza tych jej segmentów, które są przez Kreml zwalczane (np. YouTube, Facebook, Instagram i X są uznane za wrogie i blokowane od 2022 r.; WhatsApp od zeszłego roku). Ci Rosjanie, którzy chcą zachować kontakt ze światem zachodnim (i z portalami rosyjskiej opozycji operowanymi z emigracji), używają do tego celu VPN. Dotąd nie jest on nielegalny – za to nielegalnym uczyniono reklamowanie tej technologii; na różne sposoby utrudnia się też jej użytkowanie.

W regionach kraju skutki blokad internetu są różne. Potencjalnie najtragiczniejsze – oczywiście na obszarach przyfrontowych, najczęściej atakowanych przez ukraińskie środki napadu powietrznego. Nie ze względu na wzmiankowaną wyżej technikę ich nawigowania opartą na rosyjskim internecie, tylko dlatego, że ostrzeżenia o nalotach są rozprzestrzeniane przede wszystkim właśnie za pomocą mobilnej sieci.

Jednak najbardziej dotkliwe, jeśli chodzi o życie codzienne, i w tym aspekcie przypominające wręcz kataklizm, następstwa miało wyłączenie sieci w Moskwie. Jest ona gigantyczną metropolią, w której procesy usiewać taksówkę po staremu, czyli stanąć na brzegu trotuaru i machać ręką, a w ogóle – dostrzec w nowej sytuacji pewnego rodzaju staroświecki czar. Niektórzy, jak np. przewodniczący komisji Dumy ds. polityki informacyjnej Siergiej Bojarski, mówili wręcz, że czasowe wyłączenia internetu – to nowa normalność.

> Działania Kremla zmierzają do stopniowego poszerzenia rządowego rejestru stron i równoczesnej likwidacji dostępu do reszty internetu. Do budowy runetu od podstaw

Zbudujemy sieć od podstaw

Techniczna natura wyłączeń nie jest znana; specjaliści gubią się w możliwych wersjach, których relacjonowanie uczyniłoby ten tekst nieznośnie długim. Jedno jest natomiast oczywiste – zbiegają się one w czasie z kilkoma procesami, których wspólnym mianownikiem jest finalizacja realizacji bardzo ambitnego celu, wytyczonego sobie przez kremlowski reżim. To przebudowa rosyjskiego internetu na nie tylko całkowicie kontrolowany przez władze, ale wręcz organicznie niezdolny do zrodzenia jakichkolwiek dla nich zagrożeń.

Wzorzec jest oczywisty – chiński. Jednak zadanie wydaje się nad wyraz ambitne nie tylko dlatego, że psychika Rosjan jednak różni się od chińskiej. Przede wszystkim dlatego, że chiński internet od początku powstawał jako „suwerenny", zamknięty, odcięty od świata pozachińskiego. Rosyjski natomiast budował się przez pierwsze lata w warunkach swobody. W efekcie Rosjanie, jeśli chodzi o sieć, są przyzwyczajeni do czegoś w rodzaju zachodnich standardów. A w każdym razie – do korzystania z zachodnich platform.

Władze rosyjskie przez pierwsze lata walki ze swobodą w internecie realizowały więc cele ograniczone do negatywnych. Starały się więc zneutralizować i wyeliminować z runetu (jak jest nazywana rosyjska sieć) to, co im szkodziło. Uderzały w działalność opozycyjną i w platformy rozpowszechniające antyreżimowe treści. I odnosiły na tym polu sukcesy, ale dziś wyraźnie chcą czegoś więcej. Już od dłuższego czasu, w związku z ponawiającymi się blokadami internetu, władze zaczęły tworzyć rejestr białych stron – tych, które mają działać wtedy, kiedy wszystkie inne działać przestają. Były to początkowo strony urzędów, firm świadczących niezbędne usługi, banków. Potem dołączono rządowe media.

Otóż wydaje się, że działania władz, w opinii obserwatorów, coraz wyraźniej zmierzają do – ni mniej, ni więcej – tylko stopniowego poszerzenia białego rejestru i równoczesnej likwidacji dostępu do całej reszty internetu. Innymi słowy – do zbudowania nowego runetu od podstaw.

Tak jest interpretowana np. walka Kremla z najpopularniejszym w świecie rosyjskojęzycznym komunikatorem Telegram, połączona z intensywnym zmuszaniem społeczeństwa do posługiwania się konkurencyjnym komunikatorem MAX. Ten jest w pełni kontrolowany przez władze, o żadnej wobec nich tajemnicy użytkownik nie może marzyć. Założyciel tego pierwszego Paweł Durow wyjechał z Rosji i odmawia oddania władzom kodów umożliwiających czytanie wiadomości przekazywanych przez użytkowników. Wielu uważa, że jest to gra pozorów, że Telegram pozostaje w jakimś stopniu kontrolowany przez Kreml. Jednak niezależnie od tego, czy jest tak, czy inaczej, władze naprawdę usiłują ten komunikator zniszczyć. Dlaczego?

A to dlatego, że stworzył on autentyczną przestrzeń dla niekontrolowanej wymiany myśli, tworzenia się wspólnot, wyłaniania liderów opinii. Są to często wspólnoty i liderzy wyznający wartości sprzeczne z wartościami Zachodu czy rosyjskiej opozycji, to często zwolennicy prowadzenia wojny aż do całkowitego zniszczenia Ukrainy. Ale są autentyczni, nie organizowani i nie kontrolowani przez władze. Dziś (w większości – warunkowo) popierają ją. Ale w każdej chwili mogą przestać.

Co więcej, dzięki Telegramowi monetyzują swoje przekonania. Oczywiście nie tylko oni, na tej platformie rozwinął się ogromny segment influencerski – od odcinających kupony od swojego seksapilu i zdolności prowokacyjnych nabotoksowanych krasawic, po wszelkiego rodzaju hobbystów. Ale blogerzy polityczni też tam są, samodzielnie zyskują stronników i pieniądze, a to w oczach nad wyraz ostrożnych rosyjskich rządzących oznacza zagrożenie. Likwidacja czy przynajmniej drastyczne ograniczenie Telegramu i zastąpienie go MAX-em wraz z białymi rejestrami to zagrożenie usunie – odtąd w rosyjskim internecie będzie miało szanse zaistnieć tylko to, czemu rządzący nadadzą certyfikat całkowitej politycznej koszerności.

I tu wracamy do miasta Moskwy i redukcji w jego budżecie.

Pamiętają rok 1991

Na początku piątego roku wojny sytuacja Rosji i jej władz ewidentnie pogarsza się. Brak militarnych zwycięstw na większą skalę (nigdy dość przypominania – wszystkie duże ukraińskie miasta, które przed pełnoskalową inwazją były kontrolowane przez Kijów, nadal są w rękach ukraińskich) nie przysparza popularności ani samej wojnie, ani rządzącym. Budżet przestaje umożliwiać kontynuowanie – na dotychczasową skalę – iluzji normalnego życia i rozwoju (oczywiście wojna w Iranie i wzrost cen ropy doraźnie polepszyły tę sytuację, ale nie wiadomo, na jak długo). Społeczeństwo jest wyraźnie coraz bardziej znużone. Tym niemniej sytuacja Kremla nie jest rozpaczliwa. Armia walczy i, choć niezwykle powoli, idzie naprzód, na horyzoncie wciąż nie widać zagrożenia brakiem możliwości kontynuowania działań ofensywnych. Trudno dostrzec też oznaki społecznej rewolty.

Tylko że... tak to wygląda w oczach zewnętrznych obserwatorów. Zaś dla rządzących Rosją obraz sytuacji może być znacząco inny. Bo oni są nad wyraz ostrożni, jeśli chodzi o potencjalne zagrożenia wewnętrzne. Dmuchają na zimne. I żadna ewidentna słabość, niemal „wyzerowanie" opozycji nie potrafi zmienić tej postawy, bardzo głęboko uwarunkowanej.

Bo, po pierwsze, rządzący Rosją znają historię. I wiedzą, że pasywność i bierność tego narodu potrafią nagle, kompletnie nieoczekiwanie, przejść w stan agresywnej eksplozji. Bo, po drugie, pamiętają coś jeszcze, coś, co ich (a wywodzą się mniej więcej z jednego pokolenia i w większości ze służb specjalnych ze specyficzną mentalnością) ukształtowało. Nagłą zagładę władzy radzieckiej. Przecież – pamiętają – w drugiej połowie lat 80. społeczeństwo było posłuszne, a ruch dysydencki praktycznie zgnieciony. I mimo to – imperium nagle się rozpadło.

Z powyższych powodów Putin i jego drużyna nigdy nie będą usatysfakcjonowani aktualnym stopniem panowania nad sytuacją wewnętrzną. Póki będą rządzić, póty będą zmierzać do jeszcze ściślejszego wzięcia wszystkiego pod but. I nie zlekceważą żadnej okoliczności, żadnego sygnału dotyczącego potencjalnej możliwości pojawienia się w społeczeństwie tendencji buntowniczych.

Jeśli więc teraz, w tych uwarunkowaniach, tną wydatki w Moskwie, ryzykując niezadowolenie w politycznie sprawczym mieście, to znaczy, że mają ku temu naprawdę poważne powody. Czyli: że ich sytuacja finansowa się pogarsza. Jeśli zarazem, ku naprawdę powszechnemu niezadowoleniu, duszą Telegram i narzucają wszystkim MAX-a, a jednocześnie zwiększają wydatki na bezpieczeństwo wewnętrzne (policja, FSB, Rosgwardia), to znaczy, że uważają, iż w nieodległej przyszłości pojawi się przestrzeń dla niezadowolenia i protestów. I przygotowują się na tę ewentualność.

Czy mają rację? A może przesadzają? Nie należy lekceważyć intuicji rządzących Rosją. Bowiem nawet jeśli w konkretnym przypadku wiedzie ich ona na manowce – to sama przez się kształtuje też rzeczywistość. ©℗

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Piotr
Skwieciński
Publicysta. W latach 2019–2022 był dyrektorem Instytutu Polskiego w Moskwie

eprasa.pl aa0abfcd7b

Punkt zwrotny

Trzeba zakładać, że niestabilna sytuacja na świecie utrzyma się przez następnych 10 czy 15 lat. Państwa muszą więc przeorganizować zarówno swoją politykę, jak i gospodarkę

Z Duncanem

Weldonem

rozmawia Sebastian Stodolak

Na ile ekonomia jest przydatna w analizowaniu konfliktów? Skala chaosu wywołanego przez Putina, Trumpa i Netanjahu jest ogromna – i wygląda na to, że nie kierują się oni kalkulacjami ekonomicznymi. Jeden ma przeogromne ego, drugi ma fioła ideolo, a trzeci twierdzi, że się tylko broni...

Nie sądzę, by za atakiem USA i Izraela na Iran stała motywacja ekonomiczna. Ta operacja mogła mieć sens z perspektywy Waszyngtonu tylko przy bardzo błędnych założeniach. Być może zakładano scenariusz, w którym po trzech–czterech dniach bombardowań reżim w Teheranie się załamie i pojawi się jakaś figura gotowa do układania się z USA – jak to było w Wenezueli. Tyle że irańska odpowiedź, w tym zamknięcie cieśniny Ormuz, zmieniła charakter operacji. Stany znalazły się w sytuacji, której najpewniej się nie spodziewały, a to pociąga za sobą poważne implikacje dla gospodarki światowej. Skutki są odczuwalne daleko poza regionem. I tu właśnie – gdy próbujemy zrozumieć, jak ta sytuacja rozegra się w najbliższych dniach, tygodniach i miesiącach – ekonomia staje się użyteczna.

Będziemy mieć stagflację jak po kryzysach naftowych z lat 70. XX w.?

To zależy od czasu trwania kryzysu. Cieśnina Ormuz jest jednym z najważniejszych szlaków transportowych światowej gospodarki: przepływa przez nią znacząca część dostaw ropy, produktów rafinowanych, LNG, nawozów i szeregu innych surowców, jak hel czy aluminium. W krótkim okresie zamknięcie cieśniny oznacza gwałtowne zakłócenie przepływów. Część eksportu surowców można próbować przekierować na Morze Czerwone albo do innych portów w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, ale to pomoże tylko częściowo. Jeśli z rynku wypada nagle 10–15 proc. podaży paliw kopalnych, skutki są natychmiastowe. A im dłużej trwa blokada, tym bardziej sytuacja się pogarsza. Zaczynają się też wyczerpywać możliwości magazynowania u producentów bliskowschodnich, co wymusza cięcia wydobycia. Takie ograniczenia produkcji – w Iraku, Katarze, ZEA czy Arabii Saudyjskiej – nie są czymś, co da się odwrócić z dnia na dzień.

Odbudowę zdolności produkcji i eksportu utrudniają także zniszczenia infrastruktury energetycznej...

Jeżeli dochodzi do uszkodzeń terminali, instalacji LNG czy portów eksportowych, problem zaczyna dotyczyć realnego ubytku zdolności produkcyjnych – i to na lata. Jednak nawet pomijając takie zniszczenia, każdy tydzień zamknięcia cieśniny oznacza mniej więcej miesiąc dochodzenia do względnej normalności. Innymi słowy, jeśli cieśnina zostałaby otwarta jutro, po trzech tygodniach blokady, światowy system energetyczny i tak potrzebowałby jeszcze trzech–czterech miesięcy, by wrócić do stanu wyjściowego. Jeśli cieśnina pozostanie zamknięta przez dwa–trzy miesiące, skutki rozleją się na cały obecny i kolejny rok. A jeśli kryzys przeciągnie się do jesieni, wówczas zaczniemy poruszać się w scenariuszu przypominającym najgorsze epizody stagflacyjne z lat 70.

Jednak współczesna struktura rynku energii wygląda inaczej niż w latach 70., zaś same Stany Zjednoczone są znacznie bardziej odporne niż wtedy.

USA są dziś w pewnym sensie energetycznym mocarstwem: są eksporterem netto energii i ropy. Ale nie oznacza to, że wysokie ceny ropy są dla Ameryki dobre. Owszem, korzystają na nich niektórzy producenci, ale większość Amerykanów nie pracuje w sektorze naftowym. Dla przeciętnego konsumenta droższa ropa oznacza po prostu droższe paliwo i coraz wyższe koszty życia. W przypadku gazu ziemnego sytuacja jest bardziej złożona, bo to nadal rynek w dużym stopniu regionalny: ceny w Europie, Azji i Ameryce Północnej nie są ze sobą aż tak powiązane. Ropa działa jednak inaczej, bo to towar globalny. Porównując obecną sytuację z latami 70., warto zwrócić uwagę na to, że w większości rozwiniętych gospodarek zużycie ropy w relacji do PKB jest dziś wyraźnie niższe niż wtedy. To dobra wiadomość, ale tylko częściowo. Bo ropa pozostała kluczowa tam, gdzie jej zastąpienie jest najtrudniejsze – w transporcie. I tu pojawia się paradoks: choć używamy dziś mniej ropy niż pół wieku temu, to popyt na nią w tych kluczowych zastosowaniach jest mniej elastyczny cenowo.

To znaczy?

Ludzie nie rezygnują z jazdy samochodem tylko dlatego, że paliwo drożeje o 10 czy 20 proc. Żeby realnie ograniczyć konsumpcję, ceny muszą wzrosnąć znacznie mocniej. A tam, gdzie ropa jest niezbędna, jej zdrożenie może być wyjątkowo trudne do skompensowania. To dlatego długotrwały szok podażowy nadal może wywołać bardzo poważne turbulencje.

W książce „Ekonomia wojny" opisuje pan wpływ ekonomisty Walta Rostowa, doradcy prezydenta Johnsona, na politykę zagraniczną USA, gdy trwała wojna w Wietnamie. Amerykanie uwierzyli, że ów ekonomista wie, co robi, tymczasem okazało się, że on po prostu nie rozumiał wojny. Czy Trump i Putin mają swoich odpowiedników Rostowa – doradców, którzy utwierdzają ich w błędnych kalkulacjach?

Myślę, że tak. Niekoniecznie jednak są to ekonomiści. Z ekonomicznego punktu widzenia, gdy widać, że dane działanie ma wysokie koszty i szkody dla gospodarki rosną, racjonalną decyzją byłoby się wycofać. A więc już w drugim tygodniu wojny Putin powinien był uznać, że plan się nie powiódł, że to nie będzie żadna trzydniowa operacja specjalna, tylko długa i wyniszczająca wojna – i że należy się zatrzymać. Oczywiście tego nie zrobił – i cztery lata później nadal tkwi w tym konflikcie. Polityczni decydenci, szczególnie kiedy już się uwikłają w wojnę, nie zawsze zachowują się racjonalnie. Mimo wszystko jeśli chodzi o analogię do Rostowa i wojny w Wietnamie, jest w niej coś trafnego. Kiedy ogląda się codzienne briefingi Pentagonu w ostatnich tygodniach, trudno było nie mieć skojarzeń z briefingami z czasów Wietnamu. Generałowie i sekretarz obrony wygłaszali wtedy i wygłaszają teraz kolejne komunikaty o liczbie trafionych celów, o tonach zrzuconej amunicji, o skali operacji. Trafiliśmy 4 tys. celów, zrzuciliśmy tyle i tyle bomb. Tylko że podstawowe pytanie brzmi: co to daje? Można zadać ogromny ból irańskiej gospodarce, tak jak Amerykanie zadawali ogromny ból gospodarce północnowietnamskiej, ale to jeszcze nie znaczy, że zmienia się zachowanie reżimu.

Zwłaszcza że reżim broni swojego istnienia, więc ma powody, by walczyć do upadłego.

W przypadku Iranu od początku było jasne, że stawką jest przetrwanie władzy. Już pierwszy etap wojny był wymierzony w najwyższe kierownictwo, a pierwszy komunikat Trumpa po rozpoczęciu operacji otwarcie sugerował zmianę reżimu jako cel – zachęcał Irańczyków, by „odzyskali swój kraj". A jeśli reżim odbiera sytuację jako zagrożenie dla własnego istnienia, to jego tolerancja na ból, w tym gospodarczy, będzie bardzo wysoka.

Zdaje się, że Trump i jego zespół bardzo poważnie nie docenili różnicy między Wenezuelą a Iranem. Wenezuela była kleptokracją z groteskowym przywódcą, zaś w przypadku Iranu chodzi nie tylko o władzę, lecz także o ideologię.

W Iranie nie ma w kręgach władzy nikogo, kto chciałby się dogadać z USA. Wydaje się też interesujące, że może tu nie być pełnej zgodności interesów między Stanami a Izraelem, jeśli chodzi o cele wojenne. Może być tak, że Iran stanie się państwem upadłym – czymś w rodzaju Libii, ze słabą władzą centralną, fragmentacją i chaosem. Taki Iran nie byłby już strategicznym zagrożeniem dla Izraela, choć wciąż mógłby destabilizować żeglugę w cieśninie Ormuz i zagrażać państwom Zatoki Perskiej. Można sobie wyobrazić, że z perspektywy Netanjahu taki rezultat zabezpieczałby interesy Izraela, ale już niekoniecznie interesy USA czy sąsiadów Iranu.

Na początku XX w. powszechne było przekonanie, że gospodarki są zbyt współzależne, by mogło dojść do wielkich wojen, a potem przyszły dwa największe konflikty w historii. Po II wojnie mieliśmy długi okres pokoju; do tego książki takie jak „Zmierzch przemocy. Lepsza strona naszej natury" Stevena Pinkera przekonywały, że weszliśmy w epokę pokojowej współpracy. Tymczasem dziś mamy rekordową liczbę wojen od trzech dekad. I, co ważne, wszystkie te konflikty oddziałują na resztę świata właśnie dlatego, że jesteśmy tak głęboko ekonomicznie powiązani.

Tak, ale o kilku kwestiach należy pamiętać. Po pierwsze, w ostatnich pięciu latach zmieniły się normy. Przez długi czas, przynajmniej w dużej części

eprasa.pl aa0abfcd7b

świata, obowiązywało założenie, że granic nie zmienia się siłą. Putin to odrzucił. Po drugie, znów pojawia się przekonanie, iż można siłą obalić władzę w innym państwie i zainstalować przychylniejszy reżim. Taka zmiana norm nie jest dobrą wiadomością. Jeśli chodzi o współzależność, to gdy spojrzymy na Rosję czy Iran, to choć oba państwa były ważne dla globalnych rynków energii, skala ich integracji z gospodarką światową nie była aż tak głęboka...

Na szczęście.

I tu dochodzimy do zasadniczej różnicy. Jeśli w tym kontekście myśli się o potencjalnym konflikcie między USA a Chinami, np. o Tajwan, mówimy o zupełnie innej skali. Wtedy w grze są dwa kraje o ogromnym znaczeniu zarówno dla realnej gospodarki światowej, jak i dla całej architektury handlu, finansów i produkcji. W takim przypadku współzależność rzeczywiście może działać odstraszająco. To odstraszające oddziaływanie współzależności można pokazać także na innych przykładach. Jeszcze niedawno pojawiały się przecież obawy dotyczące napięć między USA a Danią wokół Grenlandii. Ostatecznie na razie do niczego nie doszło, ale gdyby hipotetycznie USA próbowały zaanektować Grenlandię, a Duńczycy stawiliby opór, to gospodarcze skutki poważnego konfliktu lub zerwania relacji handlowych między Unią Europejską a USA byłyby o rząd wielkości większe niż wszystko, co widzieliśmy w przypadku Rosji czy Iranu. I to strach przed tymi konsekwencjami w dużej mierze powstrzymuje USA. Być może więc teza o odstraszającej sile współzależności nie jest całkowicie błędna, ale działa głównie tam, gdzie integracja jest rzeczywiście głęboka, a koszty zerwania są niewyobrażalnie wysokie.

Często słyszymy, że ludzie są chciwi. Tyle że gdyby rzeczywiście kierowali się chciwością, nie mielibyśmy tylu wojen, bo rozumieliby, że one uderzają w ich dobrobyt. Bogactwo wytworzone przez ostatnie dwa wieki było w ogromnym stopniu efektem współpracy. Być może więc ludzie nie są przede wszystkim chciwi, lecz raczej bezradni wobec żądzy władzy? Może to ona okazuje się silniejsza niż kalkulacja czysto ekonomiczna?

To trafna obserwacja. I rzeczywiście ryzyko tego rodzaju irracjonalnych decyzji jest znacznie większe w systemach autokratycznych, w których przywódca może podejmować decyzje praktycznie bez realnych ograniczeń. Tacy ludzie są też często w znacznym stopniu odizolowani od ekonomicznych konsekwencji własnych działań. Jest jeszcze drugi element. Autokratyczni liderzy są często ludźmi starszymi, skupionymi bardziej na chęci zapisania się w historii niż na tym, jak będzie wyglądała gospodarka w przyszłości. Jeśli więc wchodzimy w epokę, w której więcej swobody mają przywódcy autorytarni, to czynniki ekonomiczne stają się mniej przydatne w wyjaśnianiu ich decyzji.

Świat odzwyczajał się od wojny przez ostatnie dekady.

Korzystaliśmy z dywidendy pokoju. Państwa zachodnie mogły wydawać mniej na obronę, a więcej na inne cele. Z ekonomicznego punktu widzenia to miało sens, bo jeśli rząd nie musi przeznaczać ogromnych środków na armię, magazynowanie amunicji czy utrzymywanie struktur wojskowych, to może wykorzystać te zasoby produktywniej. Dziś wydatki obronne znowu muszą rosnąć, co oznacza przekierowanie ogromnej części aktywności gospodarczej na cele, na które nikt w idealnych warunkach nie chciałby wydawać pieniędzy.

W Polsce toczy się debata o tym, jak finansować wojsko. Jaki jest najlepszy sposób utrzymywania armii? Dług, podatki, oszczędności?

Czym innym jest finansowanie wojny, w której państwo realnie już uczestniczy, a czym innym finansowanie armii w czasie pokoju. Kiedy państwo prowadzi wojnę, odpowiedzią niemal zawsze jest jakaś forma zadłużenia. Wojny są po prostu absurdalnie drogie. Przy dużym konflikcie niemal nie da się ich utrzymywać wyłącznie z bieżących dochodów. Ale to nie jest zadłużanie w takim sensie, jak rozumiemy je w warunkach pokoju. Historycznie bardzo często oznaczało ono różne formy przymusowego kierowania kapitału do państwa, czyli coś, co historyk gospodarczy nazwałby represją finansową. Jeśli państwo walczy o przetrwanie, przejmuje kontrolę nad oszczędnościami i kieruje je na zakup obligacji wojennych oraz finansowanie wysiłku militarnego.

Tyle że to nie jest sytuacja, w której jesteśmy w Polsce.

W waszej sytuacji warto myśleć o wydatkach obronnych jak o składce ubezpieczeniowej. Nikt nie chce w idealnym świecie wydawać 5 proc. PKB na obronę, ale i tak wszyscy wolą wydawać te 5 proc. na odstraszanie niż znaleźć się w sytuacji, w której trzeba przeznaczać 50 proc. PKB na prowadzenie wojny. Sensowny wydaje się podział między wydatkami inwestycyjnymi a bieżącymi. Sprzęt wojskowy, który ma służyć przez dekady, można racjonalnie finansować długiem, bo koszt rozkłada się wtedy na 20 czy 30 lat użytkowania. Zaś bieżące funkcjonowanie armii – pensje, emerytury, utrzymanie personelu – winno być finansowane z podatków. Dług ma sens przy zakupach kapitałowych. Stałe koszty działania muszą mieć trwałe pokrycie w dochodach budżetowych.

W książce podaje pan przykład XVI-wiecznej Hiszpanii: gdy napłynęły do niej pieniądze z Nowego Świata, zaczęła prowadzić więcej wojen, co ostatecznie doprowadziło ją do bankructwa. W Polsce mieliśmy w historii problem odwrotny: kłopoty z finansowaniem wojska.

Dzisiaj też nie jest łatwo przekonać obywateli do płacenia więcej na armię. Zwłaszcza w czasie, kiedy finanse publiczne na Zachodzie są w kiepskim stanie. Mieliśmy bardzo kosztowną pandemię, bardzo kosztowny szok energetyczny, a do tego dochodzi starzenie się społeczeństw. To oznacza więcej wydatków związanych z ochroną zdrowia, opieką społeczną i systemami emerytalnymi. Mam wrażenie, że ta debata wygląda jednak inaczej w Polsce, w państwach bałtyckich czy Skandynawii niż we Francji czy w Wielkiej Brytanii, a jeszcze inaczej w Hiszpanii, Portugalii czy we Włoszech. Im bliżej Ukrainy, tym łatwiej politycznie uzasadnić większe wydatki obronne. Im dalej, tym mniejsze poczucie pilności.

W książce znajduje się także rozdział, w którym opisuje pan, jak niektórzy średniowieczni królowie celowo wyposażali swoje wojska w broń gorszą, niż mogliby. Czy patrząc na konflikty toczące się obecnie, widać coś równie zaskakującego?

Tak. To asymetria między irańskimi atakami dronowymi na państwa Zatoki Perskiej a sposobem, w jaki te państwa próbują się bronić. Chodzi o drony typu Szahed. Wyprodukowanie jednej sztuki to koszt 40–50 tys. dol., podczas gdy państwa Zatoki neutralizują je pociskami za kilkaset tysięcy dolarów każdy. Niewiele tych państw wyciągnęło lekcje z doświadczeń Kijowa, mimo że Ukraińcy od kilku lat mierzą się dokładnie z tym samym typem dronów. Ukraina nie miała pieniędzy ani nieograniczonego dostępu do pocisków Patriot, więc musiała improwizować. Choć dużo uwagi poświęca się nowym, inteligentnym systemom antydronowym, ogromna część ukraińskiej obrony opierała się również na bardzo starych, wręcz staromodnych rozwiązaniach: działkach przeciwlotniczych, ▷

Kolejka riksz przed stacją benzynową w Phnom Penh, stolicy Kambodży. 24 marca 2026 r.

FOT. ROUN RY/REUTERS/FORUM

eprasa.pl aa0abfcd7b

karabinach maszynowych montowanych na pojazdach. Okazały się one tanie i zaskakująco skuteczne.

Może władze Dubaju albo Abu Zabi nie chcą ustawiać działa w miastach, żeby nie odstraszać turystów i biznesu?

Nietrudno zrozumieć, dlaczego miejsca kreujące się na ultranowoczesne, luksusowe i bezpieczne wolą droższy, bardziej dyskretny sposób obrony. Trudno sprzedawać obraz idealnego miasta, jeśli na ulicach stoją baterie obrony przeciwlotniczej.

Ukraińskie doświadczenie to nie tylko drony jako takie. To zmiana oczekiwań wobec żołnierzy – mają nie tylko wykonywać rozkazy, lecz także muszą być wynalazczy i kreatywni. Muszą umieć te drony modyfikować, nawet budować od zera. Nastała epoka innowacyjnego żołnierza?

Owszem. Rozmawiałem dwa lata temu z brytyjską firmą produkującą drony, która dostarczała bardzo zaawansowane systemy dla ukraińskich jednostek walczących na froncie. Mówili, że byli w codziennym kontakcie z ukraińskimi użytkownikami przez Signal, Telegram czy WhatsApp. Otrzymywali w czasie rzeczywistym informacje zwrotne: co działa, a co nie, jakie zmiany trzeba wprowadzić. I producent w Wielkiej Brytanii reagował na te uwagi niemal natychmiast. To pokazuje nowy model relacji między przemysłem a polem walki. Oczywiście w każdej wojnie pojawia się jakaś forma innowacji. Ale w przypadku dronów szczególnie interesujące jest to, jak bardzo zmienia się sama logika zaopatrzenia. To nie są pociski artyleryjskie kalibru 155 mm, które można produkować, magazynować i przechowywać przez lata. W przypadku klasycznej amunicji rozsądne jest zapełnianie magazynów na zapas.
W przypadku dronów to już nie działa tak prosto. Jeśli dziś zapełnisz magazyn dronami z myślą o przyszłej wojnie, to możliwe, że w momencie rozpoczęcia konfliktu te konstrukcje będą już przestarzałe. Z punktu widzenia planowania obronnego być może ważniejsze od samego magazynowania dronów jest zagwarantowanie sobie dostępu do zdolności produkcyjnych. I tu pojawia się problem, bo sektor prywatny nie będzie inwestował w fabryki tylko po to, by stały puste i czekały na konflikt.
To wyzwanie, z którym zachodnie armie wciąż nie bardzo wiedzą, jak sobie poradzić. Ukraiński sektor dronowy wyrósł z niemal zera do ogromnej skali, bo wymusiła to wojna. Bardzo trudno odtworzyć taki model w Polsce, Wielkiej Brytanii, Francji czy Niemczech, kiedy wojny u siebie jeszcze nie ma.

Obsługa nowoczesnej broni również wymaga nowych kompetencji. Jeśli potrzebujesz w armii ludzi inteligentnych, technicznie sprawnych i wynalazczych, staje się to problemem dla gospodarki cywilnej, bo dokładnie tacy ludzie są jej potrzebni. Jak sobie z tym poradzić?

Jak Izrael? To szczególny model, ale pokazuje, że da się połączyć silnie zmilitaryzowane społeczeństwo z dynamiczną gospodarką. W dużej mierze opiera się to na powszechnej służbie wojskowej oraz rozbudowanym systemie rezerw, które można szybko aktywować.
Co ciekawe, jeśli spojrzeć na izraelską kulturę start-upową i na rozwój tamtejszego sektora technologicznego, zaskakująco wiele firm i zespołów założycielskich wyrosło z relacji zbudowanych właśnie podczas służby wojskowej. Ale to jest zupełnie inny model niż utrzymywanie permanentnie bardzo licznej armii zawodowej. Oczywiście Izrael ma też swoje ograniczenia; np. mimo militaryzacji, wysokiego poziomu wyszkolenia i powszechnego obycia społeczeństwa z wojskiem nadal w ogromnym stopniu potrzebuje finansowego wsparcia USA.

Polska zniosła pobór. Dziś wraca dyskusja o jego ewentualnym przywróceniu. I, owszem, istnieje scenariusz, w którym dałoby się to zrobić rozsądnie: niekoniecznie całkowicie przymusowo, ale raczej przez system zachęt.

Podobne debaty toczą się dziś w całej Europie. Często wskazuje się na model skandynawski, zwłaszcza norweski, jako przykład udanego rozwiązania. Tam służba wojskowa ma charakter selektywny. Młodzi ludzie konkurują o to, by się do niej dostać, bo wiąże się to z różnymi korzyściami – choćby w dostępie do uczelni. Być może właśnie w tym kierunku będą szły europejskie poszukiwania: mniej topornego poboru, a bardziej selektywnego systemu budowania rezerw i kompetencji.

Czy stoimy u progu jakiejś głębszej zmiany cywilizacyjnej, czy raczej jest to tylko wrażenie wywołane zbiegiem kilku wojen i kryzysów, które szybko po sobie nastąpiły?

Można mieć nadzieję, że to tylko krótkotrwałe odchylenie, ale nie da się prowadzić polityki i planowania gospodarczego na podstawie najbardziej optymistycznego scenariusza. Racjonalne podejście każe raczej zakładać, że ten trend może utrzymać się przez następnych 10 czy 15 lat. A jeśli tak, to państwa będą musiały organizować zarówno swoją politykę, jak i gospodarkę pod kątem świata bardziej niestabilnego. To dlatego zapewne zobaczymy trwały wzrost wydatków obronnych: jako próbę odbudowy wiarygodnego odstraszania. Ale to nie będzie jedyna konsekwencja. Będziemy też bardziej narażeni na globalne wstrząsy – energetyczne, handlowe, logistyczne i finansowe – wynikające z tego, że konflikty regionalne coraz łatwiej przekładają się na skutki globalne. Można oczywiście liczyć na bardziej optymistyczny rozwój wydarzeń, ale planować trzeba tak, jakbyśmy rzeczywiście przekroczyli pewien punkt zwrotny. ©℗

FOT. MAT. PRASOWE

Duncan
Weldon
ekonomista, redaktor „The Economist", autor książki „Ekonomia wojny"

Czego pokolenie Z zazdrości Chinom

W mediach społecznościowych młodzi Amerykanie odkrywają, jak „żyć bardziej po chińsku". Fascynacja ta mówi mniej o Państwie Środka, a więcej o rosnącym rozczarowaniu ich własnym krajem

Maria
Wiśniewska

Ktoś, kto sięgnąłby dziś po smartfona amerykańskiego nastolatka, mógłby się poważnie zdziwić. Na TikToku i Instagramie krążą setki tysięcy postów i filmów, w których młodzi ludzie opowiadają o tym, jak „zostać Chińczykiem". Nie chodzi oczywiście o zmianę obywatelstwa. Raczej o fascynację stylem życia Państwa Środka. Jak się stać „bardziej chińskim" w 2026 r.? „Pij gorącą wodę, zdejmuj buty przed drzwiami, unikaj surowych warzyw i owoców" – instruuje jeden z postów, wyliczając zasady codziennego funkcjonowania w Chinach. Memy podpowiadają receptę na szczęście: „rzuć pracę, zostaw partnera, zostań Chińczykiem".

W innych materiałach Państwo Środka ukazywane jest jako futurystyczna utopia z nowoczesnymi wieżowcami megamiasta Chongqing, humanoidalnymi robotami i elektrycznymi samochodami przypominającymi bardziej statki kosmiczne niż auta. Kolejne zdradzają zamiłowanie do chińskiej medycyny i diety oraz podziw dla witalności seniorów ćwiczących w parkach tai-chi. Popularny trener personalny działający na Instagramie jako „loumystretchandgrowth" demonstruje ćwiczenia, jakie wykonują „chińskie babcie", gdy czują przytłoczenie codziennością. – Nie musisz opowiadać

eprasa.pl aa0abfcd7b

FOT. SIMON WONG/MOMENT RF/GETTY IMAGES

Ćwiczenia tai chi z wachlarzami, Szanghaj

o swoich problemach, po prostu się ruszaj. Oto dlaczego całe pokolenia pozostały silne bez terminologii terapeutycznej – kwituje. Influencerzy przekonują, że „bycie Chińczykiem" to kwestia nie tylko odpowiednich kilku nawyków, lecz także oparty na rytuałach styl życia, który skrywa obietnicę szczęścia i kontroli w pędzącym świecie.

Niektóre porady należy odczytywać z przymrużeniem oka. W jednym poście autor zapewnia, że „poszedłby do szkoły, gdyby to był mój nauczyciel" (pod spodem widnieje zdjęcie przywódcy ChRL Xi Jinpinga) i gdyby „to był mój autobus szkolny" (tu z kolei wstawione jest zdjęcie logo Didi, chińskiego odpowiednika Ubera).

Od chińszczyzny do elektryków

Jeszcze kilka lat temu Chiny nie uchodziły na Zachodzie za potęgę soft power. W dominującym przekazie były krajem cenzury, naruszeń praw człowieka i wszechobecnej inwigilacji. Do tego dochodziły utrwalone przez dekady stereotypy. Mimo skokowego wzrostu innowacji chińszczyzna wciąż kojarzy się z tanim produktem wątpliwej jakości. Wizerunkowi Pekinu nie przysłużyła się też represyjna strategia walki z COVID-19 i zacieśnienie współpracy z Moskwą.

Na tym tle pojawienie się trendu „chinamaxxing" – jak określa się to zjawisko – zaskakuje. Zainteresowanie życiem po chińsku zaczęło kiełkować w 2025 r. na TikToku. Zbiega się to w czasie z planami administracji Joego Bidena wprowadzenia zakazu popularnej platformy należącej do spółki ByteDance. Jako powód podawano brak zabezpieczenia danych użytkowników, które są przechowywane na serwerach w Państwie Środka. W odpowiedzi setki tysięcy osób przeniosły się na inne chińskie aplikacje, głównie na platformę społecznościowo-handlową Xiaohongshu (dosłownie „mała czerwona książeczka"). W ciągu zaledwie dwóch dni zyskała ona w USA ponad 700 tys. nowych użytkowników.

Dla większości było to pierwsze zetknięcie z „prawdziwie" chińskim internetem. Przez lata cyfrowe ekosystemy Stanów Zjednoczonych i Państwa Środka funkcjonowały oddzielnie, a rosnąca rywalizacja geopolityczna powodowała, że coraz mniej młodych ludzi z tych krajów miało ze sobą żywy kontakt. Dość powiedzieć, że w 2018 r. w Chinach studiowało 15 tys. Amerykanów, a w 2023 r. już tylko ok. 800.

„Ta aplikacja cofnie dekady amerykańskiej propagandy" – napisał jeden z internautów. „Wszystko, co mówiono nam o Chinach, okazało się nieprawdą" – dodała inna. Administracja Donalda Trumpa postanowiła nie blokować dostępu do TikToka, a chinamaxxing dalej kwitło (na mocy porozumienia z Chińczykami platforma ma być zarządzana głównie przez amerykańskich inwestorów).

W rozmowie z DGP podcasterka i komentatorka technologii Afra Wang wskazuje na dwa czynniki popularności tego trendu. Pierwszy jest dość oczywisty: w ostatniej dekadzie Chiny dokonały imponującego skoku technologicznego, dzięki czemu stały się atrakcyjniejsze i bardziej „cool". – To kraj tworzący rzeczy, które inni chcą naśladować – mówi Wang. – Błyskawiczne pociągi magnetyczne maglev, auta elektryczne BYD, zaawansowany chatbot DeepSeek. Chiny zaczynają wyglądać jak przyszłość. A chinamaxxing jest memicznym wyrazem tej zmiany – tłumaczy.

Drugi powód dotyczy postrzegania nie tyle Chin, ile samego Zachodu. – Pokolenie Gen Z dorastało po kryzysie finansowym 2008 r. i w trakcie zastoju w rozwoju – zauważa Wang. – Infrastruktura się starzeje, mieszkania drożeją, instytucje są sparaliżowane. Chinamaxxing jest nie tylko wyrazem tego, że Chiny są cool, lecz także tego, że Zachód przestaje taki być – ocenia podkasterka.

Poczucie, że Zachód jest w stagnacji, potwierdzają badania opinii publicznej. Według sondażu przeprowadzonego w styczniu przez think tank Carnegie Endowment for International Peace aż 64 proc. Amerykanów uważa, że Chiny mają dziś tyle samo lub więcej globalnego wpływu niż Stany Zjednoczone. 63 proc. badanych sądzi, że Państwo Środka już wyprzedziło USA w technologii.

Amerykański czy chiński sen

Nie jest pewnie przypadkiem, że trend chinamaxxing szczególnie mocno wybrzmiał w roku, który rozpoczął się w atmosferze politycznego chaosu. Najpierw uprowadzenie Nicolasa Maduro, potem groźby wobec Grenlandii, a od ponad miesiąca wojna w Iranie, której sensu wielu Amerykanów nie rozumie. Do tego dochodzą rosnące ceny i niepokój o przyszłość. Amerykański sen, który obiecywał wskrzesić Trump, dla wielu zwykłych obywateli wydaje się coraz bardziej poza zasięgiem. Według styczniowego badania „New York Timesa" niemal dwie trzecie wyborców jest zdania, że większości Amerykanów nie stać na styl życia klasy średniej, a 77 proc. twierdzi, że jest mniej dostępny niż w poprzednim pokoleniu. – W takim kontekście obraz Chin w mediach społecznościowych sprawia wrażenie alternatywnej wizji przyszłości – przekonuje Wang.

Trend odzwierciedla też głębsze procesy geopolityczne. Analitycy podkreślają, że działania Trumpa podważają opowieść o moralnej wyższości Zachodu, która dominowała w stosunkach międzynarodowych od końca II wojny światowej. Kraj dopuszczający się uprowadzeń i nielegalnych ataków, w których giną niewinni cywile, w tym dzieci, nie może nazywać się strażnikiem globalnego porządku.

W podobnym tonie na forum ekonomicznym w Davos wypowiadał się premier Kanady Mark Carney, który stwierdził, że znajdujemy się dziś w „momencie pęknięcia" starego porządku. Dodał, że zawsze był on pewną iluzją. – Wiedzieliśmy, że ta opowieść była tylko częściową prawdą, że najsilniejsi będą się z niej wyłączać, gdy będzie to dla nich wygodne – oznajmił Carney.

Pekinowi, który podważa przekonanie, że liberalna demokracja jest jedynym słusznym systemem politycznym, wojenny kurs Trumpa dostarczył tylko dodatkowych argumentów. Władze Państwa Środka starają się wykorzystać ten moment, by pokazać się jako stabilny i przewidywalny partner – w odróżnieniu od USA.

Podczas zjazdu chińskiego parlamentu na początku marca minister spraw zagranicznych Wang Yi określił swój kraj jako „najważniejszą na świecie siłę na rzecz pokoju, stabilności i sprawiedliwości". – Bez względu na to, jak silne staną się Chiny, nigdy nie będą dążyć do hegemonii ani ekspansji – zapewniał. W swej misji Pekin zyskał niedawno zaskakującego sojusznika. W styczniu słynny dysydencki artysta Ai Weiwei udzielił wywiadu dziennikowi „Berliner Zeitung", w którym opisywał swoją pierwszą od dekady wizytę w stolicy kraju. Zachwalał jakość i szybkość usług, a pytania o cenzurę zbywał twierdzeniem, że istnieje ona również na Zachodzie – tyle że sankcjonowana nie przez aparat państwowy, lecz przez korporacje i instytucje kultury. „Nie macie jak konkurować z Chinami, więc je obwiniacie" – skwitował.

Toporna soft power nie działa

Władze w Pekinie z dużą satysfakcją przyglądają się temu, jak trend chinamaxxing wyręcza ich w budowaniu globalnej atrakcyjności chińskiej kultury. W ostatnich latach reżim włożył dużo wysiłku i pieniędzy w rozwijanie „cywilizacyjnej pewności siebie" przez promocję tradycyjnej estetyki i symboli. Noszenie tradycyjnych strojów hanfu, czytanie klasyków rodzimej filozofii, rekonstruowanie budynków w duchu starożytnej architektury. Ale na Zachodzie to się nie przebijało. Sieć ośrodków kultury i języka Instytutów Konfucjusza (w Polsce działa ich sześć) – główny instrument chińskiej soft power – była na świecie raczej kojarzona z nachalnym przekazem płynącym z serca reżimu.

Kulturowej potęgi nie da się zbudować za pomocą centralnego planowania, do którego są przyzwyczajeni urzędnicy Komunistycznej Partii Chin. Jak ujął to amerykański politolog Joseph Nye, twórca koncepcji soft power: „najlepsza propaganda to taka, która nie jest propagandą". Chinamaxxing wpisuje się w tę definicję. Trend rozwija się spontanicznie, karmi się absurdem i humorem internautów, pączkuje w tysiącach memów i interakcji, które łączy ironiczny kod. Ma lekkość, której brakuje rządowym kampaniom. ▷

eprasa.pl aa0abfcd7b

Rosnąca atrakcyjność Państwa Środka to także efekt kulturowej emancypacji, która zachodzi w dużej mierze niezależnie od działań władz. Po dekadach zapatrzenia w zachodnie wzorce chińscy twórcy zaczęli bardziej bazować w swojej twórczości na rodzimym kodzie kulturowym i przetwarzać go na współczesną modłę. Przykładem są marki modowe, które tworzą ubrania inspirowane latami 60. i 70., takie jak wariacje na temat mundurów Mao czy charakterystyczne płócienne torby.

O sile tego procesu przekonał się Kaiser Kuo, ceniony chińsko-amerykański dziennikarz i muzyk, którego trudno posądzać o sprzyjanie władzy Pekinu. Po latach spędzonych w USA zdecydował się na powrót do ojczyzny, tłumacząc to właśnie głęboką przemianą mentalną, jaka zaszła w kraju. Jak pisał, po dekadach gorączkowej pogoni za bogactwem, która charakteryzowała okres gospodarczego boomu, Chiny „zaczynają znów oddychać". „Stoją u progu prawdziwego renesansu kulturowego" – napisał na swoim blogu Kuo. „Czuję, że to nadchodzi, tak jak czuje się zmianę pogody, zanim jeszcze nastąpi".

Dystopijne USA

Reakcje na chinamaxxing w samych Chinach są mieszane. Część internautów nie kryje zaskoczenia. „To takie uczucie, jakbyś przez całe życie nie słyszał komplementów, aż nagle pewnego dnia wszyscy dostrzegają twoje piękno" – napisała jedna z użytkowniczek.

Inni, bardziej nacjonalistycznie nastawieni komentatorzy, traktują trend jako dowód wyższości chińskiego systemu nad amerykańskim. Choć już od czasów Mao propaganda skupiała się na wyzysku w społeczeństwach kapitalistycznych, dla wielu zwykłych Chińczyków Stany Zjednoczone długo pozostawały symbolem nieograniczonych możliwości. W ostatnich latach to się zmieniło, czego przejawem jest gorąca debata w internecie na temat tzw. pasa śmierci w Ameryce. Określenie to nawiązuje do terminu z języka gier, oznaczającego próg słabości, po którego przekroczeniu postać szybko ginie. Zwolennicy tej koncepcji twierdzą, że w USA drobne niepowodzenia mogą szybko doprowadzić do bezdomności, uzależnienia i załamania psychicznego.

Wielu internautów zwraca uwagę, że zachodni entuzjaści Chin nie wychodzą poza powierzchowne wyobrażenie o tym kraju. – Między Chinami oglądanymi z lotu ptaka w mediach społecznościowych a Chinami na co dzień istnieje wyraźna różnica – podkreśla Wang. – Młodzi Chińczycy zmagają się z rosnącym bezrobociem, kryzysem na rynku nieruchomości i ogromną presją społeczną. – Spektakularne zdjęcia nowoczesnych miast, które zachwycają użytkowników TikToka, mają niewiele wspólnego z rzeczywistością kurierów pracujących po kilkanaście godzin dziennie – dodaje.

Przepełnione wyidealizowanymi obrazami fascynacje wielokrotnie pojawiały się w historii. W XVIII w. filozofowie oświecenia patrzyli na Chiny z podobnym podziwem jak użytkownicy TikToka. Wolter w „Listach filozoficznych" opisywał je jako „najmądrzejszy i najlepiej rządzony naród świata". Podziwiał konfucjańską etykę, widząc w niej świecką alternatywę dla europejskiego feudalizmu i religijnego dogmatyzmu. Ale sam Wolter nigdy w Azji nie był. Podobnie jak wielu Amerykanów, którzy uczą się „jak zostać Chińczykiem". – Ten trend mówi tyle samo o miejscu, które opisuje, co miejscu, w którym stoi obserwator – uważa Wang. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Poważnie, ale bez paniki

Artur **Klimek**

Uchwalenie nowej pięciolatki podczas niedawnej sesji Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych było chyba żywiej komentowane w Europie niż w Państwie Środka. Są ku temu powody. Skumulowany deficyt Unii Europejskiej w handlu towarami z Chinami w ostatnich trzech latach wyniósł prawie 1 bln euro. Nie sposób było zbilansować tego niewielką nadwyżką w usługach. Liczy się nie tylko bezpośrednia wymiana, lecz także konkurencja w dostępie do rynków trzecich, bo eksport odgrywa dużą rolę również dla Europy. Zdecydowane wejście Chin na zarezerwowane dotąd dla Unii i innych rozwiniętych gospodarek obszary technologii zagraża ich pozycji.

Chiny jasno wskazały obszary, które będą traktowane priorytetowo: półprzewodniki, lotnictwo, systemy kosmiczne, biomedycyna i drony (również te zdolne przenosić ludzi). Technologie te w wielu krajach są już zaawansowane, ale Państwo Środka ciągle ma sporo do nadrobienia. W planie wymienia się też technologie przyszłości, takie jak: komputery kwantowe, technologia 6G, nowe źródła energii czy interfejsy mózg-komputer. Należy więc się spodziewać jeszcze ostrzejszej rywalizacji o wiedzę, energię i rynek.

Nie oznacza to, że Chiny mają wszystkie elementy konieczne do osiągnięcia wyznaczonych celów. Półprzewodniki od lat należą do priorytetów Pekinu, ale wciąż nie udało się osiągnąć najwyższego poziomu zaawansowania ani opłacalności produkcji. Niektóre elementy łańcucha wartości, takie jak maszyny do produkcji procesorów czy substancje chemiczne, pozostają pod kontrolą innych państw. Podobnie wygląda sytuacja w przemyśle lotniczym. Problemem jest dostęp do najnowocześniejszych silników odrzutowych, które są produkowane przez amerykańskie i europejskie firmy.

Sztuczna inteligencja (AI) została wymieniona w planie pięcioletnim kilkadziesiąt razy. To nie ma być dodatek do gospodarki, lecz jej podstawa. Wynika to z chińskiego podejścia do AI, które przejawia się we wdrażaniu jej w wielu obszarach oraz powszechnym stosowaniu. Nie chodzi o najbardziej wydajne modele, lecz rozwiązania, które wesprą procesy produkcyjne, edukację czy ochronę zdrowia. Podobnie wygląda sprawa z humanoidami – szczególnie w kontekście ubytku rąk do pracy związanego ze starzeniem się populacji i wzrostem zapotrzebowania na usługi opiekuńcze.

Według chińskich władz wzrost gospodarczy powinien się kształtować w „rozsądnym zakresie". To pokazuje odejście w narracji od twardych celów ekonomicznych, których realizacja przysparzała nieuzasadnionych kosztów i które podważali zewnętrzni eksperci. Nowy plan należy traktować jako rodzaj drogowskazu: nakreślenie obszarów, na które warto skierować fundusze publiczne, inwestycje przedsiębiorstw i badania naukowe.

15. plan pięcioletni bazuje na chińskiej dominacji w wielu podstawowych branżach, takich jak: metale, minerały i wytwarzanie energii. To nie jest lista życzeń, co potwierdza realizacja wcześniejszych planów i ich efekty. Przykładem może być branża samochodów elektrycznych. Podobnie było z panelami słonecznymi czy maszynami przemysłowymi. W ostatnich latach eksport chińskich elektryków zwiększył się kilkudziesięciokrotnie (z kilku miliardów dolarów w 2018 r. do ponad 70 mld dol. w 2025 r.), z czego ok. 40 proc. trafiło w 2025 r. do Europy (według danych opracowanych przez Reutersa).

Chiny stosują bardzo zintegrowane podejście do poszczególnych przemysłów. Celem jest kontrola nad całymi łańcuchami wartości. Ponadto władze w Pekinie stawiają na samowystarczalność technologiczną. To nie pierwszy taki przypadek – dekady temu chodziło o zapewnienie żywności, potem o dostęp do surowców i energii.

Problemem dla partnerów gospodarczych Państwa Środka jest to, że jego podejście do rozwoju znowu opiera się na stronie podażowej. Kilkanaście dni po uchwaleniu planu pięcioletniego na spotkaniu z inwestorami zagranicznymi premier Li Qiang podkreślił znaczenie większej otwartości gospodarki, a także zadeklarował starania o zbilansowanie handlu zagranicznego przez zwiększenie importu, co miałoby wynikać z wyższej konsumpcji. Choć mówi się o tym od lat, chińska nadwyżka handlowa ciągle rośnie. W rzeczywistości ani system polityczny, ani społeczeństwo nie są nastawione na zwiększenie konsumpcji na wzór USA czy Europy – zwłaszcza biorąc pod uwagę warunki demograficzne, sytuację młodych na rynku pracy czy problemy branży nieruchomości.

Tym gorzej dla Europy, bo wzrośnie presja importowa ze strony zdeterminowanych chińskich przedsiębiorstw. Dotychczasowe strategie udawało im się realizować dzięki nie tylko innowacyjności, lecz także zaciętej rywalizacji. W branży samochodów elektrycznych pojawiły się dziesiątki twardo konkurujących ze sobą producentów. Doprowadziło to do wyłonienia kilku liderów gotowych do udziału w wyścigu globalnym. Również poszczególne chińskie prowincje mogą podsycać rywalizację.

To nie oznacza, że Europa ma oddać pole Państwu Środka. Tym bardziej że wchodzą tu w grę kwestie bezpieczeństwa. Unia powinna podjąć wysiłek, by uniknąć sytuacji, w której pozostanie zależna od chińskich zasobów, w efekcie czego tylko wycinek łańcucha dostaw będzie kontrolowany lokalnie (tak jak w przypadku metali ziem rzadkich).

Również Japonia i Korea Południowa mogą stracić przewagi w swoich kluczowych gałęziach przemysłu. Dotychczasowa polityka przemysłowa Chin nie okazywała się zawsze skuteczna, lecz była wystarczająco efektywna, by osiągać kolejne kamienie milowe. Co więcej, wysokie koszty tej polityki nie powstrzymywały władz w Pekinie przed wyznaczaniem coraz śmielszych celów.

Nowy plan pięcioletni należy potraktować poważnie, nie popadając w panikę. Teraz trzeba się przygotować na przyszłość. Patrzenie na chińską gospodarkę wyłącznie jako na taniego dostawcę prostych produktów to niepoparte faktami pocieszenie. ©℗

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu

eprasa.pl aa0abfcd7b

Kraj

Ochrona zdrowia wymaga ochrony

Publiczna ochrona zdrowia notuje ciągły deficyt, co zmusza placówki medyczne do przekładania badań i zabiegów. Pomysły rządu na oszczędności są zwyczajnie niebezpieczne

FOT. JAROSŁAW KUBALSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Piotr

Wójcik

„Zniesiemy limity NFZ w lecznictwie szpitalnym, dzięki czemu znacząco skróci się czas oczekiwania na konsultacje i zabiegi" – mówił jeden ze „stu konkretów KO" przed wyborami w 2023 r. „Oddłużymy szpitale powiatowe i urealnimy wycenę świadczeń zdrowotnych" – brzmiała natomiast jedna z 12 gwarancji Trzeciej Drogi (PSL z Polską 2050) ogłoszona w tym samym czasie. „Będziemy dążyć do przekazywania 8 proc. PKB na ochronę zdrowia – bez księgowych sztuczek. Zwiększenie środków na publiczną ochronę zdrowia pozwoli zapewnić pacjentom wysoki standard świadczeń na NFZ, oddłużyć szpitale i umożliwi znaczne skrócenie kolejek" – to z kolei fragment z programu wyborczego KW Nowa Lewica.

Powiedzieć, że dokładnie żadna z tych obietnic nie została dotrzymana, to nic nie powiedzieć. Po dojściu obecnej koalicji rządzącej do władzy nastąpił wręcz regres. Narodowy Fundusz Zdrowia przestał wypłacać środki za nadwykonania świadczeń limitowanych, czyli m.in. za zabiegi i operacje nieratujące życia czy rehabilitację. Punkt widzenia nowej koalicji zmienił się więc diametralnie w ekstremalnie krótkim czasie. „PiS płacił szpitalom za wszystko i trochę przyzwyczailiśmy się do tego, że ten pieniądz jest" – stwierdziła bez ogródek już w 2024 r. ówczesna minister zdrowia Izabela Leszczyna z KO.

Pod koniec każdego roku dochodziło więc do kryzysu w publicznym systemie opieki medycznej. Placówki przekładały umówione na ostatni kwartał świadczenia, gdyż nie dostawały wynagrodzeń nawet za część już wykonanych. Kiedy w tym roku rząd – przyciśnięty jeszcze unijną procedurą nadmiernego deficytu – zaczął desperacko szukać oszczędności, okazało się, że może być jeszcze gorzej.

Limitowane świadczenia nielimitowane

Na początku marca prezes NFZ ogłosił, że zmienią się zasady wypłat za niektóre nadwykonania świadczeń dotychczas nielimitowanych. Od razu przychodzi na myśl, że to oczywisty oksymoron – jak można wykonać zbyt dużo świadczeń, których nie dotyczy limit? A jednak za wykonanie któregoś z czterech szczególnie drogich badań diagnostycznych – gastroskopii, kolonoskopii, rezonansu magnetycznego i tomografii komputerowej – ponad wartość określoną w kontrakcie z NFZ placówki będą otrzymywać zaledwie 40 proc. przyjętej stawki. W praktyce wszystkie cztery świadczenia zostaną objęte limitem. Paradoksów jest więcej. Otóż NFZ zapowiedział te zmiany 5 marca 2026 r., informując, że wchodzą w życie od... 1 stycznia 2026 r. Najwyraźniej odwieczna zasada, że nie zmienia się zasad w trakcie gry, nie działa w obszarze polskiej opieki medycznej. Te same zasady prawdopodobnie obejmą również całą ambulatoryjną opiekę specjalistyczną (AOS), a więc wizyty u lekarzy specjalistów i świadczenia wykonywane bez konieczności pobytu w szpitalu. Faktyczne limity będą też dotyczyły niektórych zabiegów, takich jak operacja zaćmy.

Oszczędności na objęciu limitami badań diagnostycznych mają wynieść 800 mln zł. To oczywiście kropla w morzu. NFZ na swojej stronie chwali się, że jego ostateczny plan finansowy za 2025 r. przekroczył 220 mld zł, z czego budżet państwa pokrył prawie 33 mld zł. W ten sposób rekordowe były zarówno dotacja z budżetu państwa, jak i finalny plan finansowy funduszu. Problem w tym, że tegoroczny deficyt NFZ jest prognozowany na poziomie 23 mld zł. Właśnie dlatego w planie jest rozciągnięcie faktycznego limitowania na AOS i leczenie zaćmy, co ma przynieść już znacznie większą kwotę oszczędności – mowa o niemal 5 mld zł. Kolejne 4,5 mld zł miało dać przesunięcie wzrostu wynagrodzeń wynikającego z podniesienia płacy minimalnej z lipca 2026 r. na styczeń roku 2027. Na takie zmiany nie zgodziły się jednak związki zawodowe lekarzy i pielęgniarek. Ministerstwo Zdrowia na razie się z tego wycofało. Z ograniczenia wypłat za diagnostykę rząd wycofać się już jednak nie zamierza, wręcz przeciwnie.

„Nadwykonania oznaczają, że szpital realizuje więcej świadczeń, niż się umówił. Pytanie jest takie, czy za zrealizowanie tego, co było ponad umowę, mamy płacić 100 proc.? Czy mamy powiedzieć, że to nie jest uczciwe? To nie jest ▷

eprasa.pl aa0abfcd7b

uczciwe, że umawiamy się z tobą na X, a ty robisz dwa razy X i mówisz: proszę mi zapłacić za wszystko. Czym wtedy jest ten kontrakt?" – mówił w Radiu Zet minister ds. nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu Maciej Berek, czym wzburzył środowisko medyków. Minister Berek najwyraźniej nie rozumie, że nie mówi o zwyczajnej transakcji handlowej, tylko o najważniejszej usłudze publicznej o wadze porównywalnej do utrzymania porządku i bezpieczeństwa.

Karetka w wersji sportowej

Wprowadzane zmiany mają również na celu wyeliminowanie rzeczywistej patologii istniejącej w publicznym systemie ochrony zdrowia. Ograniczane właśnie świadczenia często wykonują lekarze na kontraktach B2B, czyli po prostu samozatrudnieni. NFZ chciałby więc niejako wymusić na placówkach medycznych renegocjacje tych kontraktów – oczywiście w dół. Szpitale i NZOZ-y będą miały większe możliwości w tym zakresie, ponieważ w ostatnich latach faktycznie poprawiła się ogólna dostępność lekarzy. Według najnowszego raportu OECD „Health at Glance 2025" na 1 tys. mieszkańców Polski przypada 3,9 lekarza. To dokładnie tyle, ile wynosi średnia dla wszystkich krajów tej organizacji. Pod tym względem zrównaliśmy się już z Holandią, wyprzedzając m.in. Wielką Brytanię (3,4) czy Nową Zelandię (3,7). Do państw, w których ochrona zdrowia działa najlepiej, Polsce wciąż jednak daleko. W Szwecji i Danii wskaźnik ten wynosi 4,5, a w Niemczech nawet 4,7. Pytanie tylko, czy placówki i szpitale będą w stanie przyciągnąć nowych lekarzy za niższe stawki, skoro z powodzeniem mogą oni praktykować w gabinetach prywatnych, gdyż utrudniony dostęp do świadczeń z NFZ napędza im popyt.

Wstrzymywanie wypłat za nadwykonania powoduje również wzrost zadłużenia szpitali. Według najnowszych danych Ministerstwa Zdrowia w III kw. 2025 r. dług wszystkich samodzielnych publicznych zakładów opieki zdrowotnej (SPZOZ) wyniósł już niespełna 28 mld zł. W samym III kw. 2025 r. wzrósł o 6 proc., i to kwartał do kwartału. W skali roku wzrost tego długu wyniósł aż 17 proc., gdyż w analogicznym okresie 2024 r. zadłużenie sięgało niecałych 24 mld zł.

Rozwiązaniem ma być łączenie szpitali. Dzięki temu mogą się one podzielić kosztami administracyjnymi i wyspecjalizować się w konkretnych działach medycyny, zamiast prowadzić wszystkie potrzebne pacjentom oddziały. A także – jakkolwiek koszmarnie to zabrzmi – optymalnie zarządzać pacjentami.

25 marca poinformowano o połączeniu szpitali powiatowych w Zgorzelcu i Bolesławcu. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że dyrektorką szpitala w Zgorzelcu jest Zofia Barczyk, a w Bolesławcu jej syn Kamil Barczyk. Połączony szpital będzie miał jednego dyrektora, który zostanie wyłoniony w konkursie, więc może dojść do rywalizacji między matką a synem. To tylko szczegół, ważniejsze jest to, że obie placówki dzieli całkiem duża odległość – 45 km. Samochodem to ok. 50 min drogi. Transportem publicznym – już co najmniej godzina. Tak więc dla pacjentów, którzy będą musieli udać się do szpitala w drugim mieście, będzie to oznaczać konieczność poświęcenia około dwóch godzin na podróż w dwie strony. Dzięki takim fuzjom szpitale mogą więc optymalizować wydatki, ale kosztem czasu i komfortu pacjentów. Szczególnie w nagłych wypadkach, gdy pacjent wymaga szybkiej pomocy specjalistycznej, co już może go kosztować uszczerbek na zdrowiu – by nie pisać o czymś gorszym.

Najbardziej kontrowersyjne pomysły Ministerstwa Zdrowia weszły w życie od 31 stycznia i dotyczyły porodówek. Według kryteriów przyjętych przez MZ granicą opłacalności oddziału ginekologicznego jest 400 porodów rocznie. „Granica opłacalności" w przypadku odbierania porodów brzmi jeszcze bardziej kuriozalnie niż limitowanie świadczeń nielimitowanych. Niestety do tego typu kuriozów prowadzi komercjalizacja ochrony zdrowia, która w Polsce funkcjonuje od lat 90., gdy wprowadzono NZOZ-y. Komercjalizacja oczywiście nie musi oznaczać prywatyzacji – to dwa odrębne procesy. Ta pierwsza nie zmienia własności placówek medycznych, a jedynie wymusza na nich kierowanie się zasadami rynkowymi, czyli m.in. rentownością. Od 2024 r. zamknięto już kilkadziesiąt oddziałów ginekologicznych.

Od końca stycznia weszły w życie przepisy, które zobowiązują szpitale na terenie, w którym nie ma żadnego oddziału ginekologicznego w promieniu 25 km, do tworzenia izb lub sal porodowych na SOR-ach. W takich izbach będzie dyżurował lekarz ginekolog, ale tylko w godzinach 10–18. W pozostałym czasie dyżur będzie pełniła położna. Gdy rodząca kobieta zgłosi się w czasie, gdy na miejscu nie będzie lekarza, a poród będzie już wchodził w późną fazę, to szpital musi mieć możliwość przetransportowania pacjentki do najbliższego oddziału położniczego w asyście położnej i ratownika medycznego. W tym wszystkim najbardziej jednak absurdalne jest to, że powinien móc to zrobić… w 15 min. Przypomnijmy, chodzi o placówki, które nie mają żadnego oddziału położniczego w promieniu 25 km. Przyjmując, że karetka z rodzącą kobietą będzie musiała przebyć 30 km, średnia prędkość podczas przejazdu będzie musiała wynieść… 120 km/h. To jest prędkość dla samochodów osobowych na odcinkach tras ekspresowych i autostrad, a nie dla karetki z ciężarną, i to najpewniej gdzieś na prowincji, gdzie trzeba będzie pędzić wąskimi drogami krajowymi lub wręcz lokalnymi, bo przecież tam właśnie mamy do czynienia z niskim poziomem dostępu do szpitali. Literalne stosowanie się do tego przepisu jest zwyczajnie niebezpieczne. Chyba nikt nie przypuszcza, że szpitale zaopatrzą się we flotę sportowych karetek i zatrudnią kierowców rajdowych.

Permanentne niedofinansowanie i kreatywne zapisy

„Niestety, składka zdrowotna pobierana od ubezpieczonych, już nie wystarcza, aby sfinansować wszystkie zadania, za które odpowiada Narodowy Fundusz Zdrowia" – czytamy na oficjalnej stronie NFZ w podsumowaniu sprawozdania za nadwykonania w 2025 r. Przypomnijmy więc, że to obecna koalicja rządząca przegłosowała obniżenie składki zdrowotnej najzamożniejszych przedsiębiorców, co miało kosztować NFZ 5 mld zł – ustawę na szczęście zawetował prezydent Andrzej Duda. Od lat mówi się też o konieczności optymalizacji i lepszym wykorzystaniu dostępnych środków, ale wszystkie te pomysły prowadzą do takich kuriozów, jak wyżej opisane. Według ustawy polskie nakłady na publiczną ochronę zdrowia powinny zmierzać w kierunku 7 proc. PKB, co jest zalecane m.in. przez WHO. Problem w tym, że w ustawie jest zapis, że jako podstawę bierze się PKB sprzed dwóch lat, a więc do tych 7 proc. realnie nie dojdziemy nigdy. O tym właśnie była obietnica programowa Nowej Lewicy: „Będziemy dążyć do przekazywania 8 proc. PKB na ochronę zdrowia – bez księgowych sztuczek". Księgowe sztuczki jak były, tak są i najprawdopodobniej już będą. Do czego to prowadzi, pokazuje Monitor Finansowania Ochrony Zdrowia prowadzony przez Centrum Analiz Legislacyjnych i Polityki Ekonomicznej (CALPE). W 2025 r. ustawa wymagała osiągnięcia publicznych nakładów na ochronę zdrowia rzędu 6,5 proc. PKB, a w rzeczywistości było to 5,8 proc. PKB. W tym roku według ustawy powinniśmy dojść do 6,8 proc. PKB, tymczasem realnie wydamy niespełna 6 proc.

Z tego też powodu dostępność do świadczeń medycznych w Polsce jest pod nieustanną presją. Zdarzają się okresy, gdy jest lepiej, ale zasadniczo od 15 lat czas oczekiwania na gwarantowane świadczenie medyczne jest w trendzie wzrostowym. Według najnowszego Barometru Watch Health Care w październiku 2025 r. wynosił średnio 4,2 miesiąca, czyli dokładnie tyle samo, ile w 2024 r. W latach 2021–2023 oscylował wokół 3,5 miesiąca. W okresie 2014–2017 było to ok. 3 miesięcy. W latach 2012–2013 czekało się średnio 2,5 miesiąca. Widać więc stały wzrost o pół miesiąca co kilka lat. Do końca dekady najpewniej dojdziemy do 5 miesięcy, a w latach 30. XXI w. normą stanie się kolejka na pół roku.

Oczywiście w ten sposób napędzany jest popyt na prywatne usługi medyczne. Według OECD łączne nakłady na zdrowie w 2024 r. wyniosły w Polsce 8,1 proc. PKB. Średnia OECD wyniosła 9,3 proc. U nas jednak jedna czwarta nakładów pochodziła z kieszeni prywatnych. To minimalnie więcej niż przeciętnie wśród krajów tej organizacji, jednak średnia jest zawyżana przez takie państwa jak USA czy Chile, gdzie dominuje prywatna opieka medyczna. W Europie Zachodniej środki publiczne ważą znacznie więcej. Przykładowo w Niemczech pieniądze prywatne odpowiadają tylko za 16 proc. nakładów na zdrowie, chociaż łącznie wynoszą one aż 12,3 proc. PKB. We Francji 17 proc., ale tam łączne wydatki zdrowotne to 11,5 proc. PKB. Wysoki popyt na prywatne usługi medyczne nad Wisłą sprawia, że ceny w tej branży rosną jak na drożdżach. Według GUS wskaźnik cen konsumenckich w lutym 2026 r. wzrósł ogółem o 2,1 proc. rok do roku. W kategorii zdrowie ceny wzrosły jednak aż o niemal 5 proc.

Hossa kosztem pacjentów

Jeszcze efektowniej wygląda to w dłuższej perspektywie czasowej i z wyszczególnieniem konkretnie usług medycznych. Według opublikowanego przez GUS Rocznika Statystycznego Rzeczypospolitej Polskiej 2025 usługi ambulatoryjne związane ze zdrowiem zdrożały w latach 2010–2024 aż o 126 proc. Ceny konsumpcyjne ogółem wzrosły w tym czasie o 64 proc. W latach 2015–2024 ceny świadczeń prywatnych lekarzy poszły w górę o 91 proc., a więc niemal dwukrotnie w ciągu dekady. Tylko w latach 2021–2024 mowa o wzroście o 42 proc. Prywatne gabinety lekarskie mają w Polsce niebywałą hossę, tymczasem wszystkie pomysły rządu na naprawę systemu zmierzają do zapewnienia im jeszcze większej góry pieniędzy.

Według danych OECD 4 proc. mieszkańców Polski zgłasza problem niezaspokojonych potrzeb medycznych. Daje nam to dziewiąte miejsce wśród państw organizacji. Średnia OECD to 3,4 proc. Wśród 20 proc. najbiedniejszych Polaków niezaspokojone potrzeby medyczne zgłasza co 20. obywatel. W rezultacie nad Wisłą dochodzi do wielu przypadków śmierci, których można byłoby uniknąć. Co roku dochodzi do 316 możliwych do uniknięcia zgonów w przeliczeniu na 100 tys. mieszkańców. To o 42 proc. więcej niż średnia OECD (222 zgony/100 tys.). Jeśli jednak spojrzymy na samych mężczyzn, liczby robią się zatrważające. Co roku niepotrzebnie umiera u nas 458 na 100 tys. mężczyzn, tymczasem średnia OECD to 303. Mowa więc o wyniku ponad połowę wyższym. Słusznie załamuje się ręce nad dramatycznie niskim wskaźnikiem dzietności, a nie zauważa się tysięcy osób, które przedwcześnie odchodzą.

Zdrowie publiczne jest elementem szerszego obszaru bezpieczeństwa państwa – wspólnie z obroną narodową i bezpieczeństwem wewnętrznym. Kraj pozbawiony skutecznego systemu opieki medycznej łatwiej jest zaatakować działaniami hybrydowymi wymierzonymi właśnie w zdrowie – np. wprowadzając do wodociągów niebezpieczne drobnoustroje. Dobrze działający system zdrowotny jest również niezbędny w przypadku regularnych działań zbrojnych, gdy trzeba zwyczajnie ratować życie żołnierzy. Dziwnym trafem na zbrojenia funduszy nie brakuje, ale na ratowanie zdrowia ludzi, których ten sprzęt miałby bronić, pieniędzy nie ma i nie będzie. ©℗

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Piotr
Wójcik
publicysta

eprasa.pl aa0abfcd7b

WYWIAD

Co dajemy dzieciom? Media algorytmiczne

Zgadzam się, że używanie w instytucjach edukacyjnych telefonów i innych prywatnych urządzeń cyfrowych należy ograniczyć. Trzeba jednak postawić właściwe pytanie: w czym to ma pomóc?

Z Magdaleną

Bigaj

rozmawia Katarzyna Kazimierowska

Podchodzi do mnie znajoma i mówi, że jej 11-letni syn właśnie zetknął się z pornografią na telefonie kolegi. Mimo zabezpieczeń, pilnowania, ile siedzi w sieci, w co gra, z kim gra, to, czego się obawiamy, i tak wydarzy się w życiu dzieci za wcześnie.

To doświadczenie wielu rodziców, moje zresztą też, że mimo dołożenia wszelkich starań nasze dzieci spotykają w sieci pornografię i przemoc.

To trudne zadanie: z jednej strony chronić, z drugiej – próbować sprostać wyzwaniom współczesności, w której dzieci samodzielnie poruszają się na trasie szkoła–dom, często muszą gdzieś dojechać. Wtedy telefony służą do kontaktu. Coraz częściej dzieci poniżej 13. roku życia, które mają zablokowane komunikatory, dostają nieodpowiednie treści SMS-em od innych dzieci. Jedynym skutecznym rozwiązaniem wydaje się brak telefonu.

Wtedy zobaczą szkodliwe treści na cudzym.

Dopóki nie będziemy mieli wypracowanych nowych norm społecznych, nic się nie zmieni. Podobnie, jeśli nie będziemy systemowo zwalczać pewnych rzeczy, jak pornografia.

A można po prostu zakazać używania smartfonów w szkole, jak proponuje Ministerstwo Edukacji Narodowej.

To mnie trochę niepokoi. W jaki sposób taki zakaz miałby ograniczyć dzieciom dostęp do pornografii? Bo nie będzie oglądania filmików w szkolnej toalecie? Celem szkoły nie jest praca nad nawykami cyfrowymi uczniów. A do decyzji ministerstwa mam sporo uwag.

Jakich?

Na przykład taką, że zakaz obejmuje tylko dzieci, czyli osoby pozbawione prawa wyborczego – zwracam na to uwagę, bo w przyszłym roku mamy wybory parlamentarne. Nie rozumiem, dlaczego zakaz ma nie obowiązywać również nauczycieli. Dlaczego pani od WF-u może sobie podczas lekcji grać w gry, a pan od matematyki robić zakupy przez telefon – a wiemy od dyrektorów i uczniów, że tak się dzieje. Pokazujemy uczniom, że dzieci i ryby głosu nie mają – głosu wyborczego. Druga uwaga dotyczy języka. W fundacji postulowaliśmy wprowadzenie zasad używania telefonów, a nie zakazów.

Co za różnica?

Zakaz to jest kwestia prawa, a tam, gdzie wprowadzamy prawo, kończy się miejsce na wychowanie, nie ma przestrzeni na dyskusję czy rozwój. Gdybyśmy zapowiedzieli tę zmianę jako zasady, to może zgodziliby się na nią także nauczyciele. Na przykład „nie używamy telefonów w obecności uczniów, tylko w pokoju nauczycielskim podczas przerwy” – to przecież kwestia zasad: uczciwości i kultury osobistej, a nie prawa.

Kolejna rzecz – zakaz dotyczy tylko publicznych szkół podstawowych. W przypadku szkół ponadpodstawowych mówi się już o wprowadzeniu zasad. A co ze szkołami prywatnymi? Jeśli ta decyzja dyktowana jest dobrem ucznia, to dlaczego nie dotyczy wszystkich szkół, również wyższych uczelni? Wprowadzamy bardzo punktowe, a jednocześnie bardzo radykalne rozwiązanie wyłącznie dla pewnej grupy?

Czego zabrakło?

Na przykład rocznego pilotażu, w którego ramach wszystkim szkołom – państwowym, prywatnym, społecznym – dajemy możliwość wyboru między twardym zakazem, zestawem zasad i metodą partycypacyjną (opartą na dialogu i współdecydowaniu przez strony zainteresowane – red.). Po roku mierzymy efekty i może się okazać, że w szkołach średnich model partycypacyjny działa lepiej, w szkołach podstawowych potrzebne są zasady, a zakaz działa świetnie w klasach 0–4, bo to są dzieci, które absolutnie nie powinny przynosić telefonu do szkoły. A to jest jasny komunikat dla rodziców.

Zakaz pojawił się chwilę po opublikowanej w marcu przez Ministerstwo Edukacji Narodowej Diagnozie Młodzieży 2026. Dużo w niej danych wskazujących na to, że dzieci i młodzież są samotne, doświadczają przemocy online, deklarują uzależnienie od smartfona.

Tak, ta diagnoza daje nam dużo wiedzy, ale badanie nie dotyczyło konkretnie telefonów w szkole. Jeśli 71 proc. młodych czuje, że są uzależnieni od smartfonów, to po pierwsze mówimy o subiektywnym odczuciu, a nie o diagnozie klinicznej, a po drugie – nie dowiadujemy się z niego, która część dnia ma szczególny udział w tym przeciążeniu. W badaniach higieny cyfrowej i aktywności fizycznej, które nasza fundacja opublikowała także w marcu, dwie trzecie nastolatków przyznaje, że patrzenia w ekran jest w ich życiu za dużo. Ale 43 proc. z nich deklaruje, że zwłaszcza w weekendy spędza w internecie 7 godzin dziennie i więcej. Co dziesiąty nastolatek spędza w sieci w weekend 12 godzin dziennie. I nawet jeśli w tym czasie się uczy, słucha muzyki czy podcastu, to wciąż aktywnie używa telefonu przez 12 godzin. Zakaz telefonów w publicznych szkołach podstawowych nie rozwiązuje tego akurat problemu. Zgadzam się, że używanie w instytucjach edukacyjnych telefonów i innych prywatnych urządzeń cyfrowych należy ograniczyć. Trzeba jednak postawić właściwe pytanie: w czym to ma pomóc.

Podobno chcemy dawać dzieciom więcej sprawczości, żeby mogły decydować, uczestniczyć w tworzeniu szkolnej rzeczywistości, a potem wprowadza się twardy zakaz bez włączenia samorządów szkolnych.

Powtórzę się, bo już to mówiłam w wywiadach – kiedy ukazała się u nas książka Jonathana Haida „Niespokojne pokolenie”, spotkała się z dużym entuzjazmem. Napisałam wtedy do miesięcznika „Pismo” felieton, w którym zwracałam uwagę, że łatwo jest zachwycać się postulatami Haida, ale ten ostatni, żeby oddać dzieciom dzieciństwo, jest bardzo trudny do spełnienia. Jesteśmy pokoleniem paradoksów. Z jednej strony wielu rodziców chce mieć hiperkontrolę, maksymalnie organizuje dzieciom czas, co często je przeciąża i sprawia, że funkcjonują jak w korporacji. A z drugiej strony stworzyliśmy świat, który nie jest dla dzieci przyjazny. Przestały być mile widziane np. w niektórych hotelach. Wyobrażasz sobie hotele tylko dla facetów albo tylko dla szczupłych? Samorządy nie dbają o to, żeby zachować jakąś część przestrzeni na strefy ogólnodostępne dla młodych. Tymczasem według Diagnozy Młodzieży 2026, nastolatki mieszkające na wsi zderzają się z wykluczeniem komunikacyjnym, co mocno ogranicza im możliwości spędzania wolnego czasu, zwłaszcza jeśli boiska są dla nich po lekcjach zamknięte. Zamiast dostępnego transportu zapewniamy im media społecznościowe. I choć już wiemy, że trzeba dzieci stamtąd wyciągnąć, to co dajemy w zamian?

Brakuje nam długofalowej strategii.

Renata Szredzińska z Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę słusznie zwraca uwagę, że już za późno na strategię na rzecz młodzieży w obszarze bezpieczeństwa cyfrowego, powinna powstać strategia na rzecz dzieci i młodzieży. Powinny znaleźć się w niej otwarte, dostępne dla młodzieży boiska i pula ogólnodostępnych bezpłatnych zajęć dodatkowych w szkołach. Tymczasem dwie trzecie nastolatków prawie nie uprawia sportu, w Polsce rozwija się choroba otyłościowa. Sytuacja, jaką mamy dziś, będzie wpływać na to, w jakiej kondycji psychofizycznej będą za chwilę młodzi dorośli.

Może rozwiązanie już nadchodzi? Właśnie zapadły dwa znamienne wyroki w USA, kolebce Mety i innych platform algorytmicznych, mylnie nazywanych społecznościowymi.

I to w ciągu jednej doby. Jeden zapadł z powództwa cywilnego, w którym młoda kobieta oskarżyła Metę i Google o stosowanie wobec niej mechanizmów uzależniających, prowadzących do obniżenia poczucia własnej wartości i głodzenia się. Sąd uznał firmy za winne stosowania algorytmów, które serwowały treści wpływające negatywnie na tę dziewczynę. Drugi wyrok był z powództwa urzędowego w Nowym Meksyku, gdzie śledztwo prokuratorskie wykazało, że Meta stosuje celowe działania, które ułatwiają osobom dorosłym kontakt z nieletnimi, handel ludźmi i krzywdzenie seksualne. Rzecznik Mety zapowiedział, że firma będzie się odwoływać, ponieważ „dokłada wszelkich starań” w kwestii bezpieczeństwa dzieci. Liczę na to, że na tej fali wprowadzimy w Polsce powszechną klasyfikację produktów użytkowych pod kątem poziomu ryzyka, co od jakiegoś czasu postulujemy jako fundacja.

Jak taka klasyfikacja miałaby wyglądać?

Podobnie jak przy produktach żywnościowych: czytasz opis na danym produkcie i na jego podstawie decydujesz, czy chcesz go kupić.

Ludzie wchodzący na Facebooka mogliby czytać opis: W tym serwisie stosujemy algorytmy treści, które sprawiają, że wyświetlają ci się reklamy typu scam, a te mogą spowodować utratę twoich środków finansowych

eprasa.pl aa0abfcd7b

Ludzie wchodzący na Facebooka mogliby czytać opis: W tym serwisie stosujemy algorytmy treści, które sprawiają, że wyświetlają ci się reklamy typu scam, a te mogą spowodować utratę twoich środków finansowych. Jesteśmy w przełomowym momencie społecznego uczenia się, czym są platformy społecznościowe, które stały się platformami algorytmicznymi. Żeby móc to oszacować, potrzebne są wieloletnie badania podłużne, czyli takie, w których obserwujemy wpływ danego czynnika na osobnika przez dłuższy czas. Tylko że Facebook 20 lat temu nie był platformą algorytmiczną służącą do wyświetlania nam reklam.

I co teraz?

Trzeba korzystać z prawa, które mamy. Na przykład konwencja o prawach dziecka gwarantuje nieletnim prawo do bezpiecznego środowiska życia. Skoro przestrzeń cyfrowa jest dzisiaj elementem środowiska życia, to nie wprowadzając ograniczeń kontaktu z treściami szkodliwymi, łamiemy to prawo. Wiem, że te regulacje nie są łatwe do wprowadzenia. VLOP-y, czyli wielkie platformy cyfrowe, też tu intensywnie działają.

Co masz na myśli?

Widzimy silny lobbing na poziomie Unii Europejskiej. Na 720 europarlamentarzystów przypada aż 860 zarejestrowanych lobbystów, a tylko w 2024 r. firmy technologiczne wydały na lobbing 151 mln zł. Jednocześnie mamy trudną sytuację geopolityczną. Większość firm – właścicieli platform społecznościowych to kapitał amerykański. Wprowadzenie zakazów, np. udostępniania produktów pewnym grupom osób, uderza w amerykańską gospodarkę. I myślę, że wielu polityków nie będzie się chciało skonfliktować z człowiekiem, który nazywa wojnę operacją „Epicka Furia", bo nikt nie chce oberwać odłamkiem tej furii. Niedawno kilka pierwszych dam rozmawiało w Białym Domu o bezpieczeństwie dzieci. Najpierw Melania Trump podkreślała, że zależy ono od rodziców, i to dobę po tym, jak zapadły dwa wspomniane wyroki skazujące big techy za działania na szkodę dzieci. Z kolei Marta Nawrocka mówiła o tym, że bezpieczeństwo dzieci musi być podstawą działań – przypominam, że jej mąż nie podpisał ustawy wdrażającej unijny akt o usługach cyfrowych, który zwiększałby to bezpieczeństwo. Trudno się dziwić przeciętnemu obywatelowi, że sam nie wie, co o tym myśleć. Pozwalać dziecku na TikToka czy nie? Nie są to łatwe czasy, na pewno nie dla młodych ludzi.

> Zastanawia mnie to, że resort edukacji jest gotowy zakazać używania smartfonów na terenie szkoły, a nie jest gotowy na zakaz używania platform społecznościowych.

To leży w gestii przede wszystkim Ministerstwa Cyfryzacji. A ono mówi, że pracuje nad różnymi rozwiązaniami, np. twierdzi, że już kończy ustawy o ograniczeniu dostępu do pornografii, o czym słyszę od początku kadencji. Zapytałam pewnego posła, czy wie, co jest dzisiaj głównym kanałem dostępu do pornografii dla dzieci i młodzieży. Wymienił serwisy pornograficzne.

> No cóż, choćby z raportu „Internet Dzieci 2025" wiemy, że to nieprawda.

Oczywiście. Tak jak w przypadku syna twojej koleżanki, tym źródłem są dzisiaj komunikatory, media społecznościowe i gry cyfrowe. Widać, że ustawodawca w tych różnych rozwiązaniach cały czas omija duże platformy społecznościowe, czyli zamierza ograniczać dostęp do pornografii przez serwisy jednoznacznie pornograficzne, ale w żaden sposób nie nakłada odpowiedzialności np. na TikTok, na którym tej pornografii jest mnóstwo – a to akurat mówią nam sami uczniowie.
Te wszystkie projekty ustaw omijają duże platformy. Rządzący obiecują, że będą pracować nad kwestią zakazu udostępniania części produktów dzieciom poprzez weryfikację wieku. Chodzi o rozwiązania typu eIDAS (unijny akt prawny, który ułatwia bezpieczne transakcje cyfrowe za pomocą zasad tożsamości cyfrowej i uwierzytelnienia cyfrowego). Słyszę już głosy, po części słuszne, że nie możemy zmuszać obywateli do używania elektronicznego dowodu tożsamości. Dziś korzystanie z aplikacji mObywatel jest dobrowolne. Ale jeśli zaczniemy weryfikować dostęp do produktów powszechnego użytku, jakimi są platformy algorytmiczne, poprzez mObywatela czy eIDAS, to zmusimy wszystkich do ich używania. Taki „cyfrowy spis powszechny" nie tylko jest na rękę VLOP-om, ale przez niektórych uważany jest za przez nie zainspirowany.

Jak z tego wybrnąć?

Lepszym rozwiązaniem byłby szeroki koszyk możliwości weryfikacji wieku. Każdy dorosły użytkownik internetu i wielu nastolatków ma ten wiek w jakiś sposób zweryfikowany. Mamy konta w banku, różne państwowe e-usługi, gdzie podajemy datę urodzenia, więc w skład takiego portfela weryfikacji wieku powinny wchodzić różne warianty.

> Czy rozwiązaniem, które dawałoby jakieś narzędzia młodym ludziom, nie byłby program edukacji medialnej w szkołach?

Podstawy edukacji medialnej i program wspierania kompetencji potrzebnych do funkcjonowania w przestrzeni cyfrowej są w szeroko rozumianym programie. W edukacji obywatelskiej mamy elementy wiedzy o dezinformacji. W ramach edukacji zdrowotnej – duży moduł o higienie cyfrowej. Z naszych badań wynika, że słyszało o niej ponad 60 proc. nastolatków, a dwie trzecie dowiedziało się o niej właśnie ze szkoły. To bardzo dużo. Szkoła naprawdę robi swoje, tylko my musimy jeszcze odrobić lekcję jako społeczeństwo.

> Pełnoletność nie równa się cyfrowej dojrzałości. Młodzi dorośli są wystawiani na te same stresory czy twardą pornografię i tak samo odczuwają przebodźcowanie, samotność i kryzys zdrowia psychicznego.

Dlatego uważam, że naprawdę przełomowa byłaby powszechna klasyfikacja produktów i usług dostępnych w internecie. Ich dostawcy już dzisiaj muszą przecież spełniać warunki RODO, dlaczego miałyby nie mieć obowiązku spełniać innych warunków bezpieczeństwa dla użytkownika? A jeśli decydowałyby się nadal oferować elementy ryzykowne, jak mechanizmy hazardowe, potencjalny dostęp do pornografii i dezinformacji czy algorytmizację treści mogącą skutkować pogorszeniem zdrowia, musiałyby zamieścić w widocznym miejscu, które ustali ustawodawca, informacje na ten temat. Dobre prawo z jednej strony konkretnie wskazuje, jakie są konsekwencje określonych działań, np. promowania konkretnych stron czy aplikacji. Z drugiej strony jest na tyle ogólne, że można je zaadaptować do różnych sytuacji, które nastąpią. Natomiast zawsze będą producenci niezdrowej żywności i papierosów, bo jest na nie popyt, i możliwe, że zawsze będą z nami VLOP-y. Ważne, żeby były zmuszone do uczciwego marketingu, a dzisiaj tego brakuje.

Na koniec spytam, co mogą zrobić rodzice w ramach profilaktyki?

Po pierwsze dać znać dzieciom, że dorośli wiedzą, że mogą do nich trafić niebezpieczne treści. Jeśli dajemy telefon 10–12-latkowi, to umówmy się z nim, że ponieważ w internecie jest wiele takich treści, to raz na jakiś czas przejrzymy urządzenie przy nim. Nie będziemy szczegółowo czytać korespondencji, chodzi o treści, które mogą nieść dla dziecka ryzyko.

A kiedy już trafią do naszych dzieci?

Do naszego instytutu regularnie trafiają pytania o to, co robić, gdy dziecko trafi na pornografię czy doświadczy przemocy w sieci. Cieszy mnie to, bo widać, że świadomość rodziców rośnie, ale my zajmujemy się profilaktyką, a nie interwencją. Odsyłamy m.in. do świetnej inicjatywy Dzieciństwo bez smartfona, która jest polskim oddziałem międzynarodowej akcji Smartphone Free Childhood. To nieformalne stowarzyszenie rodziców, którzy starają się promować dobre praktyki cyfrowe. Tak się właśnie buduje bezpieczną „wioskę, która wychowuje dziecko". ©℗

FOT. PAT MIC /MATERIAŁY PRASOWE

Magdalena
Bigaj

medioznawczyni, badaczka i działaczka społeczna. Założycielka i prezeska fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Autorka książek: „Wychowanie przy ekranie. Jak przygotować dziecko do życia w sieci?" oraz „Twój telefon, twoje zasady". Laureatka Nagrody Korczaka 2024

Koniec świata

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr **Arak**

Pierwsza połowa lat 20. XXI w. zapisze się w historii gospodarczej jako czas, w którym ogromne ilości kapitału popłynęły do projektów o bardzo odległej, a często iluzorycznej perspektywie zwrotu. Metaverse, NFT, kolejne generacje kryptowalut, wirtualne nieruchomości czy modele play-to-earn powstały w tym samym środowisku makroekonomicznym: zerowych stóp procentowych, gigantycznej ekspansji bilansów banków centralnych i wywołanej pandemią cyfrowej euforii.

Dziś po tej fali zostały przede wszystkim odpisy księgowe, zamknięte projekty i infrastruktura, która znalazła zastosowanie gdzie indziej. Skala porażek nie jest jednak wyłącznie historią błędnych decyzji biznesowych. To raczej przykład tego, jak w praktyce funkcjonuje mechanizm innowacji i alokacji kapitału w nowoczesnej gospodarce.

Metaverse, NFT i boom kryptowalutowy nie pojawiły się w próżni. Ich prawdziwym inkubatorem była polityka monetarna po 2008 r., a następnie po pandemii COVID-19. Stopy procentowe w największych gospodarkach oscylowały wokół zera, a programy luzowania ilościowego wstrzyknęły do systemu finansowego biliony dolarów i euro.

W takich warunkach matematyka wyceny działa na korzyść odległych projektów. Jeśli koszt kapitału jest bliski zeru, przyszłe zyski, nawet bardzo niepewne, wydają się dziś dużo warte. Inwestorzy kupują wówczas nie tyle realny biznes, ile „opowieść o przyszłości".

To dlatego fundusze venture capital finansowały wirtualne działki, a Meta mogła wydać dziesiątki miliardów dolarów na Reality Labs (spółka Metaverse). W latach 2020–2026 straty tego segmentu przekroczyły 90 mld dol. Punkt zwrotny przyniósł dopiero rozpoczęty w 2022 r. cykl podwyżek stóp. Gdy pieniądz odzyskał cenę, inwestorzy przestali finansować obietnice i zaczęli wymagać przychodów.

Metaverse było najbardziej spektakularnym projektem tej epoki. W 2021 r. Meta zmieniła nawet nazwę, by podkreślić strategiczny zwrot ku wirtualnej rzeczywistości jako następcy mobilnego internetu. Problem polegał na tym, że platforma masowa wymaga jednocześnie sprzętu, treści i użytkowników, a żaden z tych elementów nie był wystarczająco rozwinięty. Globalna sprzedaż okularów VR osiągała ok. 10–15 mln

eprasa.pl aa0abfcd7b

OPINIA

Zuckerberga

sztuk rocznie – dla porównania smartfonów sprzedaje się w tempie ponad miliard sztuk rocznie. Do tego dochodził dyskomfort związany z użytkowaniem i brak przekonujących zastosowań.

Główny problem był głębszy: Metaverse próbowało rozwiązać problem, którego większość ludzi nie miała. Wideokonferencja w goglach VR nie jest oczywistym ulepszeniem zwykłego Teamsa, a wirtualny sklep bywa po prostu gorszą wersją strony internetowej. Meta zamiast budować konkretne zastosowania – w medycynie, przemyśle czy projektowaniu – próbowała od razu stworzyć cyfrowy wszechświat.

Nie oznacza to, że wszystkie stojące za nim technologie przepadły. Rozszerzona rzeczywistość jest dziś wykorzystywana w serwisie przemysłowym (np. elektrowni jądrowych), medycynie czy architekturze. Nawet urządzenia takie jak Vision Pro zostały zaprojektowane raczej jako narzędzia produktywności niż brama do „nowego świata".

Już Joseph Schumpeter opisywał rozwój kapitalizmu jako proces twórczej destrukcji. Ekonomiści rozwojowi dodają do tego pojęcie kosztów uczenia się: gospodarki zdobywają wiedzę poprzez inwestycje, które nie przynoszą zwrotu.

Metaverse, NFT i Web3 były właśnie takim rachunkiem za eksperyment. W ich trakcie powstały silniki graficzne, infrastruktura obliczeniowa, narzędzia współpracy i kadry inżynierskie, które obecnie zasilają inne sektory, przede wszystkim sztuczną inteligencję.

Historia gospodarcza zna wiele podobnych epizodów. Bańka kolejowa w XIX-wiecznych Stanach Zjednoczonych zrujnowała inwestorów, ale pozostawiła sieć torów integrującą kraj. Bańka internetowa z przełomu XX i XXI w. zniszczyła setki firm, za to stworzyła infrastrukturę dla dzisiejszych gigantów cyfrowych.

Rok 2021 przyniósł ponad 25 mld dol. obrotu na rynku NFT. Cyfrowe obrazy sprzedawano za dziesiątki milionów, a projekty kolekcjonerskie stały się symbolem nowej klasy aktywów. Gdy popyt spekulacyjny zniknął, niemal cały rynek się załamał – większość tokenów straciła ponad 90 proc. wartości, a obroty spadły o ponad 97 proc. Nie oznacza to, że sama technologia jest bezużyteczna. NFT to w istocie kryptograficzny certyfikat własności aktywa cyfrowego. Problem polegał na tym, że rynek wycenił narrację, a nie użyteczność. Tokenizacja realnych aktywów, udziałów w nieruchomościach, praw autorskich czy instrumentów finansowych pozostaje potencjalnie istotnym kierunkiem rozwoju.

Kryptowaluty są najbardziej złożonym przypadkiem. Bitcoin zdobył pewną legitymizację jako aktywa dywersyfikacyjne, a ekosystem DeFi pokazał, że usługi finansowe mogą funkcjonować bez tradycyjnych pośredników. Jednocześnie tysiące tokenów powstałych w latach 2020–2022 nie miały żadnej funkcji ekonomicznej poza spekulacją.

Upadek giełdy FTX w 2022 r., który pociągnął za sobą miliardowe straty, ujawnił brak odpowiednich ram regulacyjnych. Sektor kryptowalut zużywał ogromne ilości energii i kapitału ludzkiego, przynosząc ograniczone korzyści dla produktywności gospodarki. Równocześnie technologia blockchain znajduje zastosowanie w rozliczeniach transgranicznych, logistyce czy cyfrowej identyfikacji. To klasyczny przykład różnicy między potencjałem technologii a jej pierwszą implementacją rynkową. Paradoks tej epoki polega na tym, że inwestycje w metaverse i NFT w krótkim czasie podnosiły aktywność gospodarczą: zwiększały zatrudnienie, wydatki inwestycyjne i PKB, choć część z nich nie przełożyła się na trwały potencjał wytwórczy.

> W Metaverse, NFT i Web3 powstały silniki graficzne, infrastruktura obliczeniowa, narzędzia współpracy i kadry inżynierskie, które zasilają inne sektory, głównie sztuczną inteligencję

Zniszczenie wartości rynkowej nie idzie w parze ze zniszczeniem wiedzy. Doświadczenie w budowaniu wirtualnych światów stało się jednym z fundamentów boomu AI po 2023 r. To efekt spillover – przenikania kapitału i know-how między sektorami. Era Metaverse, NFT i spekulacyjnych kryptowalut zakończyła się głównie dlatego, że zmieniły się warunki makroekonomiczne.

Doświadczenie ostatnich lat potwierdza kilka prawidłowości – przede wszystkim to, że cykle spekulacyjne są stałą cechą kapitalizmu, a porażka wdrożeń nie oznacza porażki technologii. Wzrost gospodarczy nie przypomina budowy według planu, lecz eksplorację. Gospodarki idą wieloma drogami naraz, wiedząc, że większość z nich okaże się ślepymi uliczkami. Koszt tej eksploracji ponoszą inwestorzy, pracownicy i czasem podatnicy. Korzyści pojawiają się gdzie indziej i później. W innowacyjnej gospodarce rzadko zyskują ci sami, którzy ponieśli straty. Kto więc zarobi na tym, co Metaverse się udało stworzyć? ©℗

Autor jest głównym ekonomistą VeloBanku i adiunktem w Katedrze Ekonomii Politycznej WNE UW

REKLAMA

eprasa.pl aa0abfcd7b

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Duża sprawa z małym groszem

Jan Cipiur

20 lat temu za złotego z groszami można było jeszcze wrzucić coś do ust i głód oszukać. Dzisiaj drobne, zwłaszcza te najdrobniejsze, bardziej ciążą, niż czemuś służą. Gotówka nie może w Polsce zniknąć, ale myśleć trzeba, czy i jak pozbyć się groszy. Jest emblematyczny przykład do powtórzenia w Polsce. Prezydent Donald Trump posłużył się w 2025 r. wybiegiem prawnym i zdecydował, że centy wprowadzone do obiegu 233 lata temu przechodzą do niebytu. Ten akurat ruch nie przysporzył mu kłopotów.

Ameryka tyranizowana przez centa?

Na krótko przed wyborami, które dały Trumpowi drugą kadencję w Białym Domu, najbardziej wpływowy dziennik świata, centrowo-lewicowy „The New York Times", będący solą w oku miliardera, opublikował płomienną diatrybę nawołującą do zaprzestania bicia monet oznaczonych „ONE CENT", zwanych na co dzień „pennies". W tytule artykułu z września 2024 r. zagrzmiało: „Ameryka musi uwolnić się spod tyranii centa". Autorka zauważyła, że centy wydawane jako reszta nie wracają do obiegu i w najlepszym razie moszczą się w skarbonkach. Z tego powodu po pewnym czasie od wybicia kolejnej partii monetek trzeba było stale i stale zamawiać nowe.

Według bardzo zgrubnych szacunków w USA pochowało się po kątach ok. 240 mld jednocentówek, czyli ok. 725 sztuk na amerykańską głowę. Od 1793 r. wybito kilkaset miliardów sztuk pennies, co czyni z nich monety o największym nakładzie w historii naszej cywilizacji. Gdyby jakimś cudem wszystkie stezauryzowane po kątach i w skarbonkach wróciły do obrotu pieniężnego, nie zdołałyby ich wszystkich pomieścić urzędowe skarbce Ameryki, a ich ponowna, hipotetyczna, dystrybucja byłaby koszmarem kosztowo-logistycznym. Worek z zaledwie 10 tys. jednocentówek waży 25 kg, a zatem 240 mld ważyłoby 600 tys. t!

Problem z centami długo obrastał pajęczyną. Aż wierzyć się nie chce, że już 50 lat temu sekretarz skarbu William E. Simon błagał Kongres o „poważne rozważenie" jak najszybszego wycofania jednego centa. Kapitol pozostał głuchy na te prośby. W 1989 r. kongresmen Jim Hayes z Arizony wyszedł – z też odrzuconym – projektem ustawy w sprawie zaokrągleń reszty do 5 centów (Price Rounding Act). W 2017 r. senator John McCain przedstawił założenia przepisów Currency Optimization, Innovation, and National Saving Act, m.in. zawieszających na 10 lat bicie jednocentówek oraz wycofanie banknotów jednodolarowych i zastąpienie ich monetami. Znowu się nie powiodło.

Ale nonsens z centami ma się ku końcowi. W maju 2025 r. prezydent Trump obszedł legislaturę i po prostu zakazał ich dalszej produkcji. To akurat mógł zrobić bez zgody Kongresu. Uzasadnił decyzję rachunkiem, zgodnie z którym koszt bicia jednego centa prawie czterokrotnie przewyższa jego nominalną wartość, a roczny koszt produkcji nowych wyniósł w 2024 r. 85 mln dol. To nie było argumentem przesądzającym, bo koszty mennicze nie mają żadnego znaczenia dla finansów państwa, zwłaszcza że mennica nie jest finansowana z budżetu. Ważniejsze jest likwidowanie bezsensu. Tryb niedokonany jest niezbędny, ponieważ drobiażdżek jednocentowy ciągle jest i będzie przez jakiś czas prawnym środkiem płatniczym w USA i gdzie indziej na świecie, ale bez nowych emisji w końcu wyparuje z obiegu.

Argumenty za zachowaniem ONE CENT

Tak jak w każdej sprawie są przeciwnicy posunięcia prezydenta. Należą do nich np. osobnicy z dużym poczuciem humoru, wskazujący, że aż ponad 125 tys. mieszkanek USA nosi imię Penny. Do najbardziej znanych należy miliarderka oraz była sekretarz handlu w rządzie Baracka Obamy – Penny Pritzker. Jest też mały polski akcent – to kanadyjska mistrzyni olimpijska w pływaniu Penny Oleksiak. Równość płci została zachowana, bo na liście jest także koszykarz Penny Hardaway, czterokrotnie wybrany do NBA All-Star Game. Indagowana przez „The Wall Street Journal" Penny Lee, prezeska i dyrektorka generalna Financial Technology Association, powiedziała: „Cóż, to niezręczna sytuacja. (...) Mam nadzieję, że nie wyrzucą mnie na emeryturę!" – tak jak centa, należy dopowiedzieć.

Monetka jednocentowa od lat traktowana jest jednak w Stanach z lekceważeniem lub pogardą. Przy kasach słyszy się często „Keep the penny" (oryginał jest obcesowy, grzeczniejsze tłumaczenie brzmi: za centa dziękuję). Cent pełnił więc głównie rolę narzędzia i symbolu oszczędzania od najmłodszych lat. Stał się też nieporęcznym, wymagającym hartu mięśni przedmiotem zbieractwa. Rekord dzierży właściciel stacji paliw Edmond Knowles z Alabamy, który wrzucił w czerwcu 2005 r. do kolejnej blaszanej beczki ustawionej w garażu jednocentówkę numer 1 308 459. W drobiazgu ważącym ok. 3,25 t zgromadził przez 38 lat pokaźną sumę nieco ponad 13 tys. dol.

Wizja zniknięcia pennies wzbudziła niepokój w sieciach handlowych i jadłodajniach typu McDonald's, gdzie dużo, a niekiedy większość klientów nadal płaci gotówką. Nasz powinowaty Gary Andrzejewski prowadzi w Baltimore sieć lokali Burger King. Kiedy jego bank zaprzestał dostaw centów, uzgodnił z pracownikami, że za każdym razem, gdy są w jakimś banku, to przynoszą do restauracji rulon pennies. Zgromadził w ten sposób 30 pudełek z nimi, więc na jakiś czas ma spokój z wydawaniem reszty. Inna firma z tej branży, Texas Roadhouse, ma kilkumiliardowe obroty roczne i zużywała co roku ok. 72 tys. rulonów po 50 sztuk centów. Teraz się martwi, bo ma ponad 700 lokali, nie kilkadziesiąt, jak Andrzejewski. Coraz częściej przed sklepami i tanimi restauracjami pojawiają się zatem plansze ostrzegające przed brakiem centów w kasach lub informujące o stosowaniu zaokrągleń. Gdzieś w Stanach, na szybie lokalu Burger King wisi plakat informujący o zaokrągleniach płatności w gotówce do najbliższych 5 centów. Gdy cena pierwotna wynosi 10,57 dol., to ostateczna – 10,55. Gdy rachunek wyniósł 10,58 dol., to po zaokrągleniu trzeba zapłacić 10,60. Tak będzie za jakiś czas wszędzie indziej, więc kiedyś pod nóż pójdą zapewne też TWO CENTS.

Inne przykłady z zagranicy

Najwcześniej pozbyli się drobnych Szwedzi, którzy już w 1972 r. wstrzymali produkcję 1 öre i 2 öre, żeby następnie pozbyć się pozostałych monet o nominale niższym niż 1 korona. Australia wycofała z obiegu swojego centa i swoją dwucentówkę w 1992 r. A nieco później zaczęto tam mówić o pozbyciu się także 5 centów, ale do tej pory to nie nastąpiło. W tamtejszej mennicy sądzą jednak, że z czasem monety 5 centów oraz 10 centów przestaną być używane, kłopot z drobnymi rozwiąże się sam i zbędne staną się kłótnie w sprawie.

Kanadyjski penny poszedł do lamusa w 2012 r. Przyjęto zasadę zaokrąglania do najbliższych 5 centów, poprzedzając to kampanią edukacyjną. Dzisiaj zaokrąglanie cen stało się oczywiste i bezproblemowe. Za innymi morzami, w Nowej Zelandii, monet o nominałach 1 i 2 centy pozbyto się w 1990 r., a pięciocentowych w 2006 r.

Badacze ustalili, że zamiast pójść lekko w górę, ceny po tych operacjach spadły. Portal money.com z Portoryko przywołał ocenę pewnej osoby z nowozelandzkiego rządu, że po usunięciu drobnych do utrzymania cen w ryzach wystarczyła konkurencja na rynku.

Jak widać, pragmatyzm bilonowy to do tej pory wyłączna domena pozaeuropejskich Anglosasów.

O polskich groszach znacznie więcej

Mnóstwa Polaków nie było jeszcze na świecie, gdy do 1994 r. krążyły po kraju banknoty o nominale 2 000 000 zł. Poprzednim razem tyle zer i o jeszcze jedno więcej było na rodzimych pieniądzach 102 lata temu. Wypadała wtedy z obiegu marka polska będąca od końca 1916 r. walutą obowiązującą na okupowanych przez Cesarstwo Niemieckie ziemiach Królestwa Polskiego, a po odzyskaniu niepodległości w całej Polsce. Jej zastąpienie w 1924 r. złotym polskim było elementem wdrożonego z powodzeniem przez ministra Władysława Grabskiego planu uzdrawiania gospodarki oraz pokonania wielkiej inflacji. Banknoty o nominałach od 0,5 marki do 10 000 000 marek poszły wtedy na przemiał i nikt ich nie żałował. Z powodów kosztowych dwa nominały zdołały jednak przetrwać nieco dłużej. Zaraz po nastaniu złotego banknoty 500 000 mkp i 10 000 000 mkp służyły jako bilety zdawkowe. Przecinano je na pół, a następnie drukowano na tych połówkach duże napisy, odpowiednio: 1 grosz i 5 groszy.

Teraz wtręt osobisty. W pierwszych latach 90. XX w. doświadczyliśmy w Polsce hiperinflacji. Ceny rosły z miesiąca na miesiąc tak szybko, że brakowało banknotów o wysokich nominałach. Papierowe pieniądze były poza tym tak lichej jakości, że szybko trzeba było wycofywać je z obiegu. W 1990 r. zauważyłem, że mam w domu całe garnce bezwartościowych już monet od 1 zł do 100 zł. Stały się kłopotliwym złomem, bowiem począwszy od 1987 r. najtańsze towary zaczęły kosztować już paręset i kilkaset złotych. Próbowałem przekonać wtedy NBP i Ministerstwo Finansów do powtórzenia metody użytej przez Grabskiego, tyle że bez używania stempli. Solidne monety od 5 zł do 100 zł miałyby zastępować banknoty o niskich nominałach. Jeśli dobrze pamiętam, zacząć się miało od pięciozłotówki mającej służyć jako 500 zł. Ponieważ, tak jak dzisiaj, królował w Polsce niedasizm, pomysł spalił na panewce, a wraz z nim sporo kasy przepalonej w Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych.

Dni po PRL były na szczęście początkiem radykalnych reform gospodarczych wprowadzanych od 1990 r. Przez parę lat było bardzo ciężko, ale inflacja zaczęła wreszcie topnieć w oczach i z początkiem 1995 r. można było się pożegnać z czterema zerami na banknotach. Tego dnia została przeprowadzona denominacja, w wyniku której dotychczasowe 10 000 zł zostało zastąpione przez 1 nowy złoty, a np. 1 000 000 zł przez sto nowych złotych. Przez kilka lat dużo Polaków liczyło nadal w dziesiątkach i setkach tysięcy oraz w milionach, ale pamięć o starych pieniądzach w końcu wygasła.

1 stycznia 1995 r. do obiegu wróciły też grosze wyparte z portmonetek i kieszeni całe lata wcześniej. W przeciwieństwie do jednego centa, za którego jeszcze w latach 50. XX w. można było kupić w Stanach gumę balonową lub cukierek (penny candy), najdrobniejsze polskie monetki już od chwili ponownego debiutu miały jedynie symboliczną wartość realną. Służyły wtedy – i także dziś służą – wyłącznie do wydawania reszty. W latach 1995–1997 najtańsza z bułek, kajzerka, kosztowała przecież, w zależności od miasta, od ok. 10 do 20 gr. W 1998 r. podrożała do 25 gr, co wywołało falę zgryźliwych komentarzy na ulicy i w mediach. Jedno-, dwu- i pięciogroszówki zaczynały sprawiać coraz większy kłopot.

Zdradliwy efekt cyfry z przodu

Po dwóch falach inflacji z XXI stulecia i w efekcie procentu składanego potęgującego w dłuższym czasie nawet niewielkie wzrosty cen, groszom pozostaje do wykonywania

eprasa.pl aa0abfcd7b

na rynku tylko jedno zadanie. Nie ostałaby się bez nich mianowicie oszukańcza w istocie praktyka marketingowa opatrywania produktów cenami w wysokości np. 2,99 zł, 8,99 zł, 19,95 zł itd.

Z powodu powszechnej u ludzi ułomności zwanej efektem cyfry z przodu lub lewej cyfry (left-digit-bias), nasz mózg reaguje mocniej na pierwszą cyfrę ceny. Gdy widzimy zatem kwotę 7,99 zł, uznajemy, że ten drobiazg kosztuje 7 zł, chociaż w rzeczywistości jest to 8 zł bez grosika. Efekt działa identycznie w przypadku drogich towarów, ale tu narzędziem manipulacji jest urywany z ceny cały jeden złoty. W przypadku produktów spożywczych codziennej potrzeby korzyści firm handlowych z efektu left-digit-bias sumują się rok w rok w miliardy złotych.

Robert Schindler i Thomas Kibarian stwierdzili w latach 90. XX w., że po zmianie ceny produktu z 3 dol. na 2,99 dol. sprzedaż wzrosła aż o 24 proc. Po wielu podobnych badaniach utrwaliło się przekonanie, że „cudowne" dziewiątki na końcu zwiększają sprzedaż w przedziale od 5 do 20 proc. Efekt jest największy, gdy klient nie zna dokładnej wartości produktu, gdy różnica między cenami jest niewielka i gdy nie musi się zastanawiać nad zakupem. Jak można się domyślać, efekt lewej cyfry nie działa, gdy w grę wchodzą produkty z najwyższych półek, np. luksusowe zegarki czy auta. Są one głównie symbolami statusu, więc im droższe, tym lepiej.

W pracy „Effects of $9 Endings on Retails Sales: Evidence of Field Research" Dražen Prelec, Eric Anderson i Duncan Simester z MIT i Uniwersytetu Chicagowskiego opublikowali w 2003 r., czyli w czasie przed eksplozją e-commerce, wyniki, które stały się w marketingu królami cytatów w sprawie cen. We współpracy z dużym domem sprzedaży wysyłkowej wystawili w katalogu trzy identyczne bluzki w trzech różnych cenach wynoszących 34, 39 i 44 dol. Niespodzianka! Mimo że była droższa, bluzka za 39 dol. sprzedała się lepiej niż kosztująca 34 dol. Wniosek z tego, że końcówka 9 działa jak zwiastun okazji zakupowej, a efekt jest tak silny, że potrafi przebić niższą cenę.

W ramach prac niezależnego ośrodka badawczego GRAPE dr Sylwia Radomska z INE PAN opublikowała artykuł „Magiczne końcówki" zawierający bogaty przegląd także innych badań omawianego fenomenu. Przypomniała m.in., że zespół Nicoli Lacetera z Uniwersytetu w Toronto przeanalizował ponad 22 mln transakcji sprzedaży-kupna używanych samochodów w USA. Patrząc na przebieg auta, ludzie zwracali uwagę na wartości z lewej strony do tego stopnia, że pojazdy, które pokonały między 79 900 mil a 79 999 były średnio o 210 dol. droższe niż te mające na liczniku 80 000–80 100 mil. Taką niespójność logiczną autorzy dostrzegli przy każdym okrągłym progu, począwszy od 10 tys. mil aż do 100 tys. mil. Z kolei Avner Strulov-Shlain z Uniwersytetu Kalifornijskiego zauważył, że zmiana ceny o kilka centów w którąkolwiek stronę nie ma wpływu na decyzje o zakupach. Ludzkiemu mózgowi jest całkowicie obojętne, czy płaci 4,79, czy 4,85. Odstręcza nas natomiast od zakupu, gdy cena produktów rośnie z 4,99 na 5,00. Różnica jednego grosza wywołuje spadek popytu o 3–5 proc. Okazało się również, że jeśli trzeba podnieść cenę, to lepiej do 5,48 niż do 5,00. I któż by się czegoś takiego spodziewał.

Kiedy grosze pójdą na rentę?

Przez trzy minione dekady nominalne średnie wynagrodzenie netto wzrosło w Polsce 10-krotnie, z 550–580 zł w 1995 r. do 5,5 tys.–6 tys. zł obecnie, zatem w relacji do przeciętnych wynagrodzeń dzisiejszy 1 zł to odpowiednik 10 gr z 1995 r. Dla mnóstwa Polaków najdrobniejsze grosze stały się z tej przyczyny uciążliwym utrapieniem. Cierpliwi noszą jeszcze przy sobie drobne z reszty, aż wystarczy ich na końcówkę z kolejnego paragonu. Zdarzają się też nicponie wyrzucający najdrobniejszy bilon do kosza na śmieci lub gdzie popadnie, chociaż to akt profanacji własnej pracy.

Żal po małych groszach byłby wyłącznie nostalgiczny, ale na wypadek, gdyby nas ogarnął, mam dwie anegdoty. W Polsce nazwisko Grosz nosi obecnie prawie 800 osób, ale nie ma wśród nich osób publicznych. Bardzo oczytani ludzie w podeszłym wieku przypomną sobie wszakże generała Ludowego Wojska Polskiego, funkcjonariusza UB i ambasadora w Czechosłowacji, zmarłego w 1956 r. Wiktora Grosza. Gdyby nie zbyt małe rozmiary obecnych groszy, mogłoby zacząć dochodzić do skandali podobnych do prokurowanych u schyłku PRL. Władze rozpowszechniły wówczas „straszną" wiadomość o złych dekarzach profanujących nasz pieniądz narodowy. Otóż używać miały domniemane huncwoty monet jednozłotowych zamiast podkładek do gwoździ-papiaków. Prawdą było tylko to, że regularna podkładka kosztowała więcej niż bezwartościowy już 1 zł. Jednak złotówka z podłego stopu aluminium używanego w latach 80. XX w. była za miękka, żeby dobrze przytrzymywać papę na dachu.

Jedno- i dwugroszówek można byłoby się pozbyć już teraz bez jakiejkolwiek straty. Przeciwnicy takiego ruchu podkreślają, że byłaby to woda na młyn prowodyrów całkowitej eksterminacji gotówki. Poprzez dekapitację groszy zmniejszeniu uległaby siła oddziaływania cyfr z przodu cen, co byłoby wbrew interesom sieci handlowych sprzedających żywność, niezliczone artykuły pierwszej potrzeby, najtańsze przybory szkolne itp. Przeciw przeniesieniu drobnych groszy w stan spoczynku byliby też najstarsi Polacy stroniący w zasadzie od elektronicznych wynalazków płatniczych. Można jednak iść o zakład, że olbrzymia większość Polaków pożegnałaby bez żalu najdrobniejsze drobne. ©℗

Autor jest publicystą ekonomicznym, członkiem Towarzystwa Ekonomistów Polskich

AUTOPROMOCJA

DGP
Informujemy rzetelnie
Doradzamy profesjonalnie

Nowy serwis dgp.pl
to więcej korzyści
dla Ciebie

więcej treści:
- rozmowy wideo z ekspertami
- raporty specjalne i pogłębione analizy
- przydatne w pracy kalkulatory
- biblioteka e-poradników i wydań archiwalnych

na bieżąco:
- o zmianach w prawie natychmiast po ich ogłoszeniu
- newslettery i alerty dot. kluczowych przepisów
- zaawansowana wyszukiwarka merytoryczna

CZYTAJ WIĘCEJ: dgp.pl

eprasa.pl aa0abfcd7b

Mniej Więcej

Łukasz

Wilkowicz

Mamy 80 proc. unijnego PKB na mieszkańca

Tak dobrze jeszcze nie było: pod względem PKB w przeliczeniu na mieszkańca (i z uwzględnieniem różnic w poziomach cen) wyprzedzamy osiem krajów UE. Równocześnie udało się nam przekroczyć 80 proc. średniej unijnej (od poziomu PKB na mieszkańca zależy m.in. dostępność funduszy unijnych). 10 lat wcześniej byliśmy na poziomie 70 proc. średniego wyniku UE. Wtedy oznaczało to, że zrównujemy się z Grecją, która niedługo wcześniej weszła na równię pochyłą. Dziś Grecja i Bułgaria pod względem PKB per capita są najbiedniejszymi krajami UE. Teraz ścigamy się z Portugalią. Odrobienie dystansu do kolejnych krajów zajmie jednak dużo czasu. ©℗

PKB per capita z uwzględnieniem parytetu siły nabywczej
(UE = 100, 2025 r.)

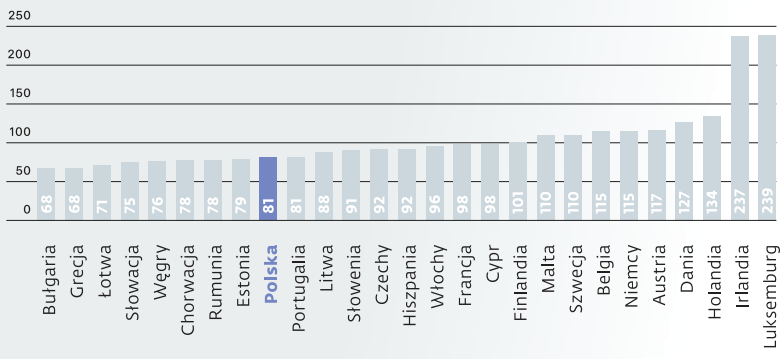

Źródło: Eurostat LR ©℗

Deprywacja w odwrocie

PKB na mieszkańca pokazuje bardziej naszą efektywność niż sytuację materialną. Ale są też inne miary, które wskazują, że ta sytuacja się poprawia. Jak obliczany przez GUS wskaźnik pogłębionej deprywacji materialnej i społecznej. Odsetek ludności, który ma problemy z zaspokojeniem potrzeb godnego życia, zmniejszył się w ub.r. do 2 proc. 10 lat wcześniej wynosił niemal 8 proc. W najlepszej sytuacji są mieszkańcy dużych miast, gdzie wskaźnik wynosił w ub.r. 0,7 proc. Najsłabiej wypadają miasta poniżej 100 tys. mieszkańców (2,5 proc.) i tereny wiejskie (2,5 proc.). ©℗

Pogłębiona deprywacja materialna i społeczna
(proc.)

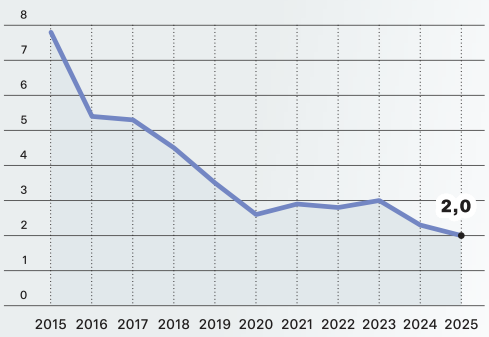

Źródło: GUS LR ©℗

Więcej w portfelu prezesa NBP

Bank centralny wywiązał się z dorocznego obowiązku informacji o zarobkach kadry menedżerskiej, w tym prezesa. W 2025 r. Adam Glapiński zarobił w NBP prawie 1,6 mln zł. Jego zarobki były o 15 proc. wyższe niż rok wcześniej. Szybciej niż płace prezesa rosły zarobki dyrektorów departamentów. Przeciętne zarobki 25 osób na tym stanowisku to w skali roku nieco ponad 800 tys. zł. Były o 20 proc. wyższe niż rok wcześniej. Jedna grupa w ubiegłym roku straciła. To doradcy prezesa. Na 4 takie etaty (rok wcześniej: pięć, a w latach 2021–2023: ponad 10) przypadało w całym 2025 r. przeciętnie po 385 tys. zł. To o 9 proc. mniej niż rok wcześniej. ©℗

Wynagrodzenie prezesa NBP jako wielokrotność średniego wynagrodzenia w gospodarce

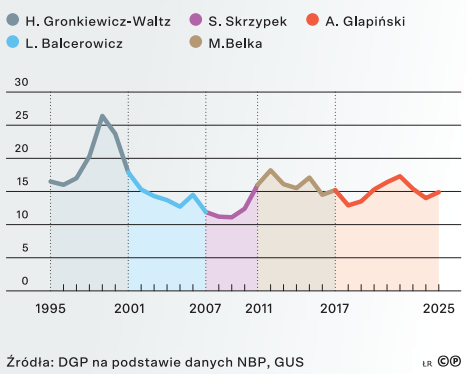

Źródła: DGP na podstawie danych NBP, GUS LR ©℗

Idee

Czego nie wiemy o wartościach i geopolityce

Donald Trump może ogłosić zwycięstwo w wojnie ideologicznej przeciw Europie. Nawet u jego przeciwników obraz świata jest dziś trumpowski, a w jego centrum jest pewna koncepcja wartości

Konrad

Werner

Niemiecki kanclerz Friedrich Merz w przemówieniu na otwarciu Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa stwierdził, że partnerstwo euroatlantyckie musi być oparte na konkretnych, czy wręcz krzepkich podstawach, a nie na gruncie ezoterycznym (org.: „Diese Begründung muss handfest sein, nicht esoterisch"). Słowa te można interpretować jako odnoszące się do czczej gadaniny i wzniosłych haseł w przeciwstawieniu do realnych interesów. Wówczas trudno z nimi polemizować. Można jednak, jak to uczyniono np. w popularnym niemieckim programie publicystycznym Markusa Lanza w telewizji ZDF 17 marca 2026 r., interpretować je jako odnoszące się do wartości; konkretnie – do idei, zgodnie z którą stosunki między państwami mają się opierać na wartościach i powiązanych z nimi normach postępowania.

Jeśli wartości mają status „ezoteryczny", to – o ile podążać za słownikiem – są przedmiotem wyłącznie wewnętrznej, intymnej wiedzy czy wręcz wtajemniczenia. Tym samym ich realność i obowiązywanie mogą być kwestionowane z obiektywnej i zarazem praktycznej perspektywy. Wskutek tego – i to jest sprawa kluczowa – nie są czynnikiem, który manifestuje się w działaniu (bo gdyby tak było, to nie byłoby potrzeby wtajemniczenia). Ostatecznie przemyca się tu pogląd, że tak rozumiane wartości nie są czymś, co poważni uczestnicy konferencji o polityce międzynarodowej powinni brać pod uwagę.

Chciałbym zaproponować coś przeciwnego – można długo znosić tyrady o „naiwności" i „romantyzmie" wszelkich odniesień do wartości czynione przez internetowych influencerów dla wzmożenia klikalności, ale przyszła pora, aby wreszcie zastanowić się nad wartościami na poważnie, już nie tylko w akademickich gabinetach filozofów, lecz w ramach debaty publicznej.

Realizm, instytucje i wartości

Ezoteryczną interpretację wartości z pewnością podejmą ci teoretycy stosunków międzynarodowych, którzy określają się mianem realistów. Od dawna bowiem twierdzą, że w relacjach między państwami nie obowiązują żadne normy, lecz naga siła użyta celem realizacji państwowych interesów. Klasyk gatunku, John Mearsheimer z Uniwersytetu Chicagowskiego, charakteryzuje realizm jako pogląd, zgodnie z którym „państwa są kluczowymi aktorami" i „współistnieją w świecie, w którym nie istnieje ponad nimi żadna siła, która może bronić jedne przed drugimi". W związku z tym „relacje między nimi – szczególnie wielkimi mocarstwami – mają u podstaw rywalizację" („Great power rivalries: the case for realism", „Le Monde diplomatique" z sierpnia 2023 r.; moje tłumaczenie).

Najczęściej jako przeciwieństwo realizmu przedstawia się pogląd liberalny, zgodnie z którym można i należy opierać politykę międzynarodową na – jak referuje Mearsheimer – „wartościach liberalnej demokracji – rządach prawa, gospodarce rynkowej i prawach człowieka" (tamże).

Problem jednak w tym, że w cytowanym fragmencie Mearsheimer w gruncie rzeczy nie wymienił żadnych wartości, lecz pewne kluczowe instytu-

eprasa.pl aa0abfcd7b

FOT. STELLALEVI/DIGITAL VISION VECTORS/GETTY IMAGES

cje państwa liberalno-demokratycznego. Te mają na celu ustanowienie i realizację określonych reguł, zaś reguły służą temu, aby wartości „przetłumaczyć" na stosowne instrukcje działania. Związek pomiędzy instytucjami a wartościami jest więc pośredni.

Jakkolwiek banalnie to zabrzmi, wartościami są choćby: dobro, sprawiedliwość, równość, piękno. Wymienione przez Mearsheimera instytucje mają służyć realizacji określonych wartości, na czele ze sprawiedliwością; w przeciwnym razie stają się jedynie podziałem pracy w obrębie elity władzy. Przykładowo konstytucyjny trójpodział władz w III RP był w oczach prawicowych krytyków polskiego sądownictwa właśnie tym i niczym więcej – międzykorporacyjnym rozdziałem kompetencji, który nijak się miał do sprawiedliwości. W tym ujęciu prawo międzynarodowe jest instytucją, która ma za zadanie przynajmniej częściowo przełożyć ten międzyludzki ideał sprawiedliwości na poziom międzypaństwowy.

Trump, wartości i neofici trumpizmu

Nielubianym, acz skutecznym nauczycielem realizmu dla wielu polityków i komentatorów w Europie stał się Donald Trump. Jego domniemany transakcjonizm ma być właśnie brutalnie realistycznym odrzuceniem wszelkich wartości. Tymczasem on wcale nie twierdzi, że wartości nie mają wpływu na działanie! Problem z jego podejściem jest zgoła inny.

Otóż Trump powiedział niedawno, że granicę jego działań wyznacza tylko jego indywidualna moralność. To dość uderzająca deklaracja. Z jednej strony uznaje on wartości za wewnętrzne i dostępne jedynie z subiektywnej perspektywy, podobnie jak zwolennicy ich „ezoteryczności", ale zarazem (przeciw „ezoterykom") przyznaje wartościom rolę czynnika w działaniu, przynajmniej deklaratywnie. Mogą bowiem narzucać działaniu granice.

Jednocześnie Trump zdecydowanie odrzuca podejście liberalne, zgodnie z którym wartości manifestują się w działaniu za pośrednictwem instytucji. Zgodnie z poglądem liberalnym, nawet jeśli wartości są produktem subiektywnej mechaniki emocji czy „uczuć moralnych" (jak twierdzili m.in. Adam Smith i David Hume), to ulegają pewnej obiektywizacji w postaci reguł. Trump jest, jak się zdaje, zwolennikiem bezpośredniego wpływu owych „uczuć moralnych" na działanie i wręcz zwalcza wszelkie pośrednictwo obiektywizujących reguł czy instytucji.

Uważam, że Trump w tej sprawie zasadniczo się myli i wraz z Daronem Acemoğlu i wieloma innymi historykami gospodarki wierzę, że to m.in. instytucje stoją za spektakularnym sukcesem Europy i Zachodu w epoce nowożytnej, o którym tak kwieciście ostatnio prawił Marco Rubio.

Ezoteryki wartości zaproponowanej mimochodem przez Merza może nie należy traktować zbyt poważnie, ale sygnalizuje ona pewien kierunek. Samo zaś prawdopodobieństwo, że europejscy neofici realizmu mogą ten kierunek obrać i stać się bardziej trumpowscy od samego Trumpa, wystarcza jako uzasadnienie poważnej rozmowy o wartościach.

Wartości jako czynniki i parametry

Roman Ingarden, polski fenomenolog i jeden z największych filozofów XX w., napisał esej „Czego nie wiemy o wartościach" (R. Ingarden, „Studia z estetyki", PWN 1970). Znany z bardzo skrupulatnych analiz rozmaitych sposobów istnienia autor dochodzi tam do wniosku, że w zasadzie o wartościach więcej nie wiemy, niż wiemy. Ich sposób istnienia pozostaje nieustalony. Nie przynależą one bowiem do żadnej ze standardowych kategorii obiektów. Nie są czymś podobnym do chipów, czołgów i metali ziem rzadkich (przykłady moje, nie Ingardena), czyli w oczywisty sposób nie są rzeczami, którym można przypisać fizyczne parametry.

Wbrew temu, co ogłaszają rozmaici duszpasterze, wartości nie mają też charakteru idealnego, na wzór obiektów matematycznych. Własności tych ostatnich, choć w zasadzie nie wiadomo, skąd się to bierze, są obiektywne i nienegocjowalne. Nie można wprawdzie dotknąć żadnego prostokąta (w naszym zasięgu jest tylko obiekt fizyczny o kształcie zbliżonym do idealnego prostokąta), niemniej jest sprawą zupełnie niezależną od naszej woli to, że przy mierzeniu powierzchni działki zbliżonej kształtem do tej figury może się zmienić sprzęt, ale nie zmienia się istota samego pomiaru. Tę bowiem wyznacza matematyka. Wartości nie mają tego luksusu. Nawet te, które zdają się niewzruszoną ostoją naszego ładu moralnego, jak przykazanie „nie zabijaj", dopuszczają przecież wyjątki, choćby w przypadku sankcjonowanej przez Kościół tzw. wojny sprawiedliwej (np. obronnej). Także nasze rozumienie godności i wartości życia ludzkiego ewoluowało, o czym dobrze świadczy historia niewolnictwa lub pseudonaukowych teorii ras.

Ktoś mógłby wyciągnąć z tego wniosek, że wartości są jedynie tworem fantazji – jak postaci literackie. Że są, jak to określa Ingarden, bytami czysto intencjonalnymi. Wydaje się, że do takiej konkluzji zmierza dyskurs publiczny naszych czasów, enigmatycznie wyłuszczony przez Merza. Byłby to więc pogląd, zgodnie z którym wartości to wytwory subiektywnej świadomości i nawet jeśli nie są zupełnie ezoteryczne, bo możemy o nich rozmawiać jak o czymś obiektywnym (jak o postaciach literackich i ich problemach), to nie mają żadnej mocy w realnym świecie.

Ingarden pokazuje, że również takie ujęcie sprawy jest nieadekwatne. Na potrzeby naszej analizy wystarczy zdać sobie sprawę, że niezależnie od tego, jak bardzo cyniczni bywamy w dysku- ▷

eprasa.pl aa0abfcd7b

Nigdy dość przypominania, że wartości realizują się w działaniu. Choć ta prawda brzmi banalnie, niewypowiedzenie jej sprawia, że dyskusja o wartościach staje się oderwana od praktyki życia – prywatnego i politycznego – i tym samym zachęca do „ezoterycznych" interpretacji

sjach politycznych, nie możemy nie dostrzec, że miliony, jeśli nie miliardy ludzi codziennie podejmują jakieś decyzje i działania, realizując określone wartości. I nie chodzi mi o akty moralnego heroizmu w rodzaju Maksymiliana Kolbego, lecz o mnogość zupełnie codziennych rzeczy. Komuś wypada z kieszeni banknot i świadek tego zdarzenia informuje poszkodowanego, zamiast wykorzystać okazję; ktoś poświęca weekend, aby pomóc przyjacielowi w przeprowadzce, a ktoś inny nie zje ulubionej potrawy z uwagi na Wielki Post. Jest zatem zwyczajnym faktem to, że wartości nie tylko realizują się w działaniu niejako obok innych działań, lecz wpływają też na wybór jakiegoś działania spośród wielu możliwości.

Co więcej, wartości służą także do oceny działań innych. Powtarzane po wielokroć i w bardzo różnorodnych populacjach badania wykazują, że ludzie mają jakieś wewnętrzne poczucie i potrzebę sprawiedliwości. Eksperymentowano np. z prostym schematem gry, w której jedna osoba dostaje, powiedzmy, 100 zł do podziału między siebie i kogoś innego. Obdarowany musi zaproponować, ile zachowa dla siebie, a ile może oddać drugiej osobie. Następnie ta druga osoba ma dwie możliwości: zaakceptować ofertę (wziąć pieniądze) lub ją odrzucić. W tej prostej grze nie ma sposobu, aby sprawę negocjować, coś wymusić itp. Jeśli ludzie zawsze maksymalizują swoją korzyść, to każda niezerowa oferta powinna być zaakceptowana. Okazuje się jednak, że jeśli oferta jest interpretowana przez drugiego gracza jako niesprawiedliwa, to bardzo często nie jest akceptowana. Przykładowo ktoś mi proponuje 5 zł. Ja na to odpowiadam oburzony: „Ile? Za 5 zł to ja dziękuję bardzo". Gdyby oferta opiewała na 20 zł, to już czemu nie. Wpływ na decyzję – w powszechnie przyjętej interpretacji tych badań – ma poczucie sprawiedliwości.

Do tego dodałbym sprawę chyba najmniej zbadaną, którą sam zajmuję się we własnej pracy: otóż wartości mogą także służyć jako parametry współdecydujące o tym, co dany człowiek, a także dana społeczność, ujmuje jako swój interes. Przecież interesy nie leżą na ulicy niczym rzeczy, po które wystarczy się schylić. Trzeba wpierw mieć zdolność rozpoznania czegoś jako swojego interesu. Weźmy przykład aktualny, który powinien nas bardzo interesować. Eksperci powiadają, że rosyjskie społeczeństwo jest gotowe znieść biedę w zamian za poczucie, że państwo, z którym się utożsamiają, jest mocarstwem. To oczywiście uproszczenie, ale tego rodzaju rozpoznanie interesu jest przynajmniej jednym z możliwych wyjaśnień tego, że w zasadzie nie istnieje presja na elitę władzy, aby prowadziła politykę, która skierowałaby Rosję na ścieżkę zaawansowanej gospodarki opartej na wiedzy i kapitale ludzkim. Czy nie współdecydują o tym właśnie przyjmowane tam wartości służące za swoiste filtry, przez które ludzie spoglądają na fakty i dokonują przyporządkowania interesów? Powtórzmy, że wbrew popularnej gadce „realistycznych" influencerów interesy nie są jak płyty tektoniczne, które pchają państwa w jakichś kierunkach zupełnie niezależnie od percepcji społeczeństw i elit.

Realizacja wartości w działaniu

Wydaje mi się, że wiele nieporozumień bierze się stąd, że każdy termin odnoszący się do jakiejś wartości ma charakter wysoce abstrakcyjny, ale jego właściwym odniesieniem jest zawsze działanie, a więc coś bardzo konkretnego. Powiadamy np., że „otwartość" (umysłu, serca, poglądów czy postaw) jest wartością, ale nie realizuje się ona w tym, że ktoś ją jedynie głosi, lecz w konkretnych sytuacjach, w czasie i fizycznej przestrzeni, np. „Jan mieszka w tej samej kamienicy co grupa imigrantów z Afryki" (jeśli chodzi o otwartość na przyjezdnych i inne kultury) albo „Jan przyjaźni się z Łukaszem, który głosuje na inną partię niż Jan" lub „Jan jest katolikiem i przyjaźni się z Tomaszem, który jest luteraninem". Każda z tych sytuacji realizuje się w czynnościach bardziej jeszcze konkretnych: we wspólnym piciu kawy na mieście, w powitaniach na klatce schodowej itd.

Mamy więc pewne napięcie między dziedziną abstrakcji i dziedziną konkretnego działania, bo z jednej strony nie można żadnej wartości w punkcie wyjścia utożsamić z jakimś konkretnym sposobem zachowania się, ale z drugiej – wartość nierealizowana w działaniu nie jest, jak się zdaje, w pełni wartością, lecz co najwyżej jest wartością potencjalną.

Nigdy dość przypominania, że wartości realizują się w działaniu. Choć prawda ta brzmi dość banalnie, niewypowiedzenie jej sprawia, że dyskusja o wartościach nie tylko korzysta z abstrakcyjnych pojęć (inaczej być nie może), lecz staje się oderwana od praktyki życia – prywatnego i politycznego – i tym samym niejako zachęca do „ezoterycznych" interpretacji.

Realizm i poszukiwanie sprawcy

To wszystko prawda – ktoś powie – ale przecież w realizmie Mearsheimera chodzi nie o wartości odnoszące się do działania jednostek, lecz o to, że wartości z poziomu międzyludzkiego nie mają przełożenia na działania państw.

Być może „realiści" mają rację. Problem jest jednak taki, że jeśli przyjmie się za Mearsheimerem, że działającym podmiotem, a więc sprawcą stosownych czynów, jest państwo jako takie, to w zasadzie zamyka się możliwość wprowadzenia kategorii wartości niejako z góry. A to dlatego, że – jak stwierdził Aleksander Fredro – narody sumienia nie mają. Nie sposób się z tym sądem nie zgodzić.

Ktoś powie, że sprawa skończona, ale proszę mi pozwolić wyrazić wątpliwość: czy realista dbający o oparcie w faktach nie powinien przedstawić jakichś argumentów za tym, że to właśnie państwa jako takie powinny być wzięte w charakterze aktorów na scenie międzynarodowej, a nie jakieś ciała kolektywne – wąska elita władzy, elity pojęte szerzej, a nawet większość reprezentowana przez wybranych przedstawicieli i zorganizowana w postać przeróżnych zrzeszeń agregujących działania i wolę jednostek (w demokracjach)? Dlaczego ta sprawa jest rozstrzygana w punkcie wyjścia? Przecież nawet jeśli sens ma stwierdzenie, że wojna z Iranem jest bądź nie jest realizacją interesów USA jako państwa, to decyzję o jej rozpoczęciu podjął konkretny człowiek.

Uznanie państw za sprawców jest z tej perspektywy wysoce kontrowersyjne i... mało realistyczne. Pomijając filozoficzne subtelności, niech mi wolno będzie stwierdzić, że realista w dowolnej dziedzinie ma obowiązek „oddania sprawiedliwości widzialnemu światu", jak to genialnie ujął nasz rodak Joseph Conrad. Widzialny świat składa się zaś, jakkolwiek banalnie to zabrzmi, z konkretnych osób podejmujących decyzje w określonych warunkach. Wśród tych decydentów są przywódcy, zarówno demokratyczni, jak i dyktatorzy, jak również olbrzymia mnogość kolektywnych decydentów w rodzaju stowarzyszeń, klubów czy korporacji.

Wewnątrz państw zachodzi zatem jakaś dynamika podejmowania decyzji. Tymczasem państwo jest przez realistów rozumiane tak, jak niegdyś behawioryści rozumieli człowieka, tj. jako swoistą „czarną skrzynkę" – system, którego zachowanie możemy obserwować, do wnętrza którego nie mamy jednak dostępu. Tym samym państwo jawi się jako byt oderwany od „materii" codziennego życia i mechaniki podejmowania decyzji. Nie ma nic złego w tworzeniu wyidealizowanych modeli teoretycznych. Trudno jednak bronić poglądu, że model państwa jako quasibehawiorystycznej „czarnej skrzynki" wchodzącej w konfrontację (lub kooperację) z inną taką „skrzynką" jest najbardziej realistycznym opisem dynamiki relacji międzynarodowych, przynajmniej tak długo, jak długo stoją za nimi konkretni ludzie, zbiorowości i konkretne percepcje interesów.

Otwierając „czarną skrzynkę" państwa

Warto by niczego z góry nie zakładać i zamiast wyżywać się w oderwanych polemikach na temat tego, czy „liberalne wartości" są albo nie są realizowane w polityce międzynarodowej, kto jest realistą, a kto naiwniakiem i „romantykiem", skupić się na tym, aby skrupulatnie badać realny proces podejmowania kolektywnych decyzji. A jest co badać, biorąc pod uwagę, z jaką wielką rozmaitością systemów politycznych i instytucjonalnych, a także ewentualnych wartości i kanałów, przez które mogą one wpływać na realne decyzje, mamy dziś do czynienia. Ostatecznie może się okazać, że w pewnych sytuacjach rację będą mieli realiści, ale jedno wydaje mi się jasne – w przeciwieństwie do tego, co zakłada Mearsheimer, nie możemy przyjmować obrazu państwa jako „czarnej skrzynki", do której nie warto zaglądać. Otóż trzeba. Tym bardziej że mamy dziś do tego zaawansowane narzędzia.

W jakimś sensie znów wypowiedziałem wielki banał. Bo przecież eksperci nauk społecznych, polityki i stosunków międzynarodowych te właśnie rozmaite uwarunkowania wpływające na decyzje polityczne badają od dawna. Istnieją rozmaite tradycje i szkoły, weźmy choćby tzw. socjologię historyczną. Istnieje teoria racjonalnego wyboru oraz alternatywne podejścia w ramach paradygmatu tzw. racjonalności ograniczonej i środowiskowej, jak również teoria skupiona stricte na decyzjach politycznych – tzw. Foreign Policy Analysis (FPA). W obrębie współczesnej filozofii, włącznie z filozofią eksperymentalną, istnieje olbrzymia literatura w zakresie teorii kolektywnego działania. W ekonomii rozwijają się modelowanie agentowe i badania behawioralne korzystające m.in. z repertuaru teorii gier. Można długo wymieniać narzędzia pochodzące z zakresu bardzo wielu dziedzin nauki.

Choć żadna z tych dziedzin nie zajmuje się teorią wartości jako taką, mają one narzędzia wystarczające, aby we współpracy ze stosowną częścią filozofii, zarówno pojęciowo, jak i empirycznie tę kwestię opracować i pewne rzeczy po prostu ustalić.

Ostatecznie sprawa jest śmiertelnie poważna i dlatego niniejszą konkluzję chciałbym szczególnie podkreślić. Wiedza jest najpotężniejszym orężem. Stać nas na więcej niż zgrubne modele rzeczywistości i banalne mądrości o interesach, a nie stać nas na ryzyko, które ze sobą niesie tania internetowa propaganda. Jeśli w warunkach wojny polsko-polskiej trudno o konsensus – np. w debacie o źródłach finansowania zbrojeń albo o naszych ambicjach nuklearnych – to może przynajmniej zgódźmy sie co do tego, że pogłębione modele procesów decyzyjnych naszych wrogów i sojuszników mogą także okazać się bronią. Mogą być również lewarem naszej własnej decyzyjnej samodzielności. A gdy już zbudujemy sobie swój „guzik atomowy", to posiadanie takich modeli będzie konieczne w szerszej strategii jego naciskania albo nienaciskania. ©℗

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Konrad

Werner

doktor habilitowany filozofii, Wydział Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego

eprasa.pl aa0abfcd7b

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Pełzająca schizma

Marcin **Kędzierski**

Co roku w Wielki Piątek w środowiskach katolickich toczy się debata o odczytywanej w kościołach modlitwie powszechnej za Żydów. Kilkanaście lat temu episkopat poprawił jej tłumaczenie, zastąpiwszy sformułowanie „lud, który niegdyś był narodem wybranym" frazą „lud, który jako pierwszy nabyłeś na własność". W parafialnej praktyce wciąż dominuje jednak starsza wersja zapisana w Mszale Rzymskim – nowa wymaga użycia specjalnej wkładki, którą wielu księży nie zaprząta sobie głowy. Tym bardziej że różnica na pierwszy rzut oka jest kosmetyczna. Obie wersje odstają też od przedsoborowej modlitwy, która mówiła o „wiarołomnych Żydach".

Za sprawą niedawnego listu polskich biskupów z okazji 40. rocznicy wizyty Jana Pawła II w rzymskiej synagodze niszowa dyskusja może się zamienić w większy spór. Autorzy listu piszą m.in., że śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa są znakami sprzeciwu wobec duchowej śmierci, której przejawem jest antysemityzm. Przypominają też, że Kościół odrzuca przypisywanie Żydom zbiorowej winy za śmierć Jezusa oraz potępia wszelkie formy dyskryminacji i prześladowań. Nie zdziwię się, jeśli część aktywnych w mediach społecznościowych duchownych zadeklaruje, że odmówi „prawdziwą" wersję modlitwy o Żydach, którzy byli, lecz nie są już narodem wybranym (ci najgorliwsi wrócą pewnie do wersji z „wiarołomnymi Żydami").

Niezależnie od kwestii teologicznych list episkopatu wpisuje się w szerszy kontekst polityczny. Swoją opinią podzielił się choćby Krzysztof Bosak, który już w pierwszych słowach wyraził ubolewanie, że żaden hierarcha nie zablokował listu (licząc jednocześnie, że „może jeszcze jakiś biskup odetnie się od jego formy i jego treści"). Z kolei stylizujący się na trybuna ludowego Grzegorz Jankowski z Polsat News grzmiał: „Ekscelencje, ogarnijcie się!". Podobnych głosów były dziesiątki, z wielu różnych stron. W obronie biskupów stanęły jedynie lewicowo-liberalne media, co dodatkowo rozjuszyło oburzonych. Temat żył przez kilka dni, a jeśli wierzyć danym opublikowanym przez kolektyw Res Futura, aż 92 proc. komentarzy w sieci na temat listu miało silnie negatywny charakter. Próbując odczytać społeczne emocje, analitycy stwierdzili, że dominowała narracja, iż „biskupi dokonali zdrady na rzecz politycznej poprawności i uległości wobec lobby syjonistycznego". Nie będę zatem zaskoczony, jeśli tematyka żydowska pojawi się w rozmowach przy świątecznym stole. Można się nawet spodziewać wplecenia antysemickich elementów w Boży Grób albo inscenizację Drogi Krzyżowej.

Dlaczego temat stosunku Kościoła rzymskokatolickiego do judaizmu spowodował tak histeryczną reakcję? Co się stało, że polscy hierarchowie, którzy dotąd prawie nigdy nie robili niczego w kontrze do wiernych, nagle zdecydowali się na tak odważny krok? Czy ich list będzie miał polityczne konsekwencje? Czy faktycznie mamy do czynienia z nawrotem nastrojów antysemickich, przed czym przestrzega część komentatorów przychylnych stanowisku hierarchów?

Na zajęciach ze studentami często zachęcam ich do rozmowy na tematy społeczno-polityczne, w tym poruszam wątki dotyczące polityki Izraela, stosunków polsko-żydowskich czy roli żydowskiego lobby w USA. Zwykle nie wywołują one ożywionej dyskusji – w przeciwieństwie np. do tematyki światopoglądowej. Ale gdy ostatnio poruszyłem na zajęciach kwestię listu episkopatu, lawina ruszyła. Pod adresem Izraela padały oskarżenia o ludobójstwo w Strefie Gazy oraz zarzuty rozpętania wojny z Iranem. Usłyszałem o „żydowskich wpływach" w biznesie, polityce, a nawet w przestępczości zorganizowanej. W głosach studentów pobrzmiewały echa spiskowej tezy o „Żydach rządzących światem".

To naturalnie dowód anegdotyczny, ale może on wyjaśniać rosnącą popularność antysemickiej narracji, prezentowanej choćby przez środowisko skupione wokół Grzegorza Brauna. Nie jest tak, że motywy te nie przewijały się w politycznej historii III RP – pamiętamy przecież hasło „żydokomuna" czy listy przedstawicieli polskich elit o żydowskich korzeniach. Tyle że nie przebijało się to do głównego nurtu. Odwołujący się do antysemickich tropów Leszek Bubel czy Stanisław Michalkiewicz nigdy nie zdobyli dużego grona zwolenników. Jednak dziś antyżydowska, antyizraelska lub antysyjonistyczna emocja (dość często mieszają się one ze sobą) zakorzeniła się w przestrzeni publicznej. Nie chodzi wyłącznie o Brauna perorującego o trwającej „judaizacji" Polski czy o tzw. piątkę Sławomira Mentzena z 2019 r., w której znalazło się hasło „Nie chcemy Żydów". Chodzi raczej o to, że takie głosy słychać coraz częściej i przestają budzić społeczne zdziwienie.

Można odnieść wrażenie, że wypowiedzi i działania o charakterze antysemickim (vide gaszenie świec chanukowych w Sejmie) nie dyskredytują polityków, a wręcz przysparzają im poparcia. W mojej ocenie ta nowa brunatna fala nie jest tylko echem przedwojennego antysemityzmu. Przed 1939 r. Żydzi stanowili ok. 10 proc. obywateli RP. W ich rękach koncentrował się handel, a wraz z nim część władzy ekonomicznej, co budziło zawiść i niezadowolenie. Dziś w Polsce mieszka niewielu wyznawców judaizmu czy osób wprost odwołujących się do syjonistycznych haseł. Tematyka żydowska jest właściwie nieobecna w przestrzeni publicznej – poza takimi wydarzeniami jak festiwal muzyki żydowskiej na krakowskim Kazimierzu. Co prawda w ostatnich 35 latach powracały dyskusje o restytucji mienia pożydowskiego, a w Kościele (zwłaszcza w parafiach na prowincji) dawały o sobie znać antysemickie resentymenty, ale nie były to tematy z czołówek gazet czy portali.

Dlaczego więc sięganie po stare uprzedzenia znowu wywołuje społeczne emocje? Widzę trzy główne powody. Pierwszy to zakorzeniony w polskiej kulturze mit ofiary, który był często wykorzystywany jako narzędzie polityki historycznej w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy. Narracja o Polakach jako o narodzie, który najbardziej ucierpiał w II wojnie światowej, w oczywisty sposób kolidowała z pamięcią o Holokauście, będącą jednym z fundamentów tożsamości współczesnego Izraela. Efektem tego był konflikt, którego prawica nie mogła wygrać. Przekonał się o tym premier Mateusz Morawiecki podczas sporu o nowelizację ustawy o IPN z 2018 r., kiedy izraelskie władze przedstawiały Polskę jako wroga – jeśli nie współsprawcę Holokaustu. Wydaje się, że „piątka Mentzena" była reakcją na ten kryzys.

Drugą przyczyną powrotu retoryki antysemickiej jest polityka państwa żydowskiego w Strefie Gazy. Na całym świecie nasilają się antyizraelskie nastroje, w których ważną rolę odgrywają oskarżenia o ludobójstwo pod adresem rządu Binjamina Netanjahu. Dotyczy to również jego głównego sojusznika – USA. Według sondażu NBC News z marca tego roku wśród najmłodszych Amerykanów (18–34 lata) jedynie 13 proc. ma pozytywną opinię o Izraelu, negatywną – aż 63 proc. Po raz pierwszy w historii większy odsetek Amerykanów opowiada się w konflikcie po stronie Palestyńczyków. A mówimy o jednym z najbardziej proizraelskich państw świata, które niemal zawsze staje po stronie Tel-Awiwu na forum ONZ. Również badania prowadzone w państwach europejskich wskazują na spadek poparcia dla Izraela – na ogół oscyluje ono w granicach 15–20 proc.

Z sondażu przeprowadzonego w styczniu tego roku przez CBOS wynika, że w porównaniu z 2025 r. niechęć wobec Żydów wzrosła w Polsce o 8 pkt proc. (z 32 proc. do 40 proc.). Sympatię zadeklarowało zaledwie 22 proc. badanych. Intuicja podpowiada, że wraz z eskalacją wojny w Iranie i skaczącymi cenami paliw negatywne nastawienie do Żydów będzie się nasilać – nie tylko na prawicy, lecz także w całym politycznym spektrum.

Trzecim ważnym źródłem antysemickich emocji wydaje się afera Jeffreya Epsteina. W przestrzeni medialnej nietrudno znaleźć teorie spiskowe, które odmalowują go jako agenta Mossadu. W pewnym sensie jest to nowa odsłona znanej od dekad narracji o wpływach bankierskiego rodu Rothschildów, którzy rzekomo stali za elitami politycznymi większości państw Zachodu. W myśl tej teorii, gdyby nie akta Epsteina (i szantaż ze strony Netanjahu), prezydent Donald Trump nie wdałby się w irańską eskapadę, a z pewnością nie rozważałby operacji lądowej skazanej na podobny los jak interwencje w Iraku i Afganistanie.

Politykom obu największych polskich partii trudno jest wprost krytykować zarówno Izrael, jak i USA. Ani ze strony prezydenta Karola Nawrockiego, ani premiera Donalda Tuska lub ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego nie usłyszeliśmy głosów potępienia. Powód wydaje się dość oczywisty – ambasador USA w Polsce Tom Rose wysłał jasny sygnał, że obecność 10 tys. amerykańskich żołnierzy nad Wisłą zależy od naszego poparcia dla Izraela. Zyskują na tym partie, które pozwalają sobie na bardziej asertywne stanowisko – Konfederacja i Lewica.

Niespodziewanym „prezentem" dla PiS okazała się informacja, że izraelskie służby nie dopuściły łacińskiego patriarchy Jerozolimy kardynała Pierbattisty Pizzaballi do Bazyliki Grobu Pańskiego w czasie obchodów Niedzieli Palmowej. O ile wcześniej politycy tej partii milczeli, o tyle teraz szybko wyrazili rytualne oburzenie. Przeprosiny ze strony prezydenta Jicchaka Herzoga i premiera Netanjahu niewiele zmieniły.

Na przeciwległym biegunie znaleźli się polscy biskupi, choć mam wrażenie, że nieco przypadkiem. Do tej pory hierarchowie doskonale odczytywali emocje wiernych – nawet w kwestii rozliczenia skandali seksualnych. Wbrew pozorom znaczna część polskich katolików nie jest zainteresowana zajmowaniem się tą sprawą. Nie wiem, czy przyjmując list, hierarchowie mieli świadomość, że detonują bombę. Ważne jest to, że zgodnie z obowiązującym w Kościele modus operandi muszą przynajmniej publicznie epatować jednością. Nie pozwolą sobie na krytyczne głosy pod adresem twórców listu, czyli najprawdopodobniej kardynała Grzegorza Rysia.

Zachowując proporcje, dostrzegam w tej sytuacji wyraźne podobieństwa do listu polskich biskupów kierowanego do biskupów niemieckich z listopada 1965 r. Inicjatywa abp. Bolesława Kominka i prymasa Stefana Wyszyńskiego nie tylko spotkała się co najmniej z niezrozumieniem duchowieństwa, lecz także stała w kontrze do nastrojów panujących wśród parafian. Partia wykorzystała to jako okazję do wbicia klina między wiernych a hierarchię. Strona niemiecka nie udzieliła adekwatnej odpowiedzi, co nasiliło przekonanie, że kierownictwo episkopatu popełniło błąd. Jednak po latach można zobaczyć w tamtej inicjatywie proroczy gest.

Nie wiem, czy będzie tak również tym razem. Nie mam za to wątpliwości, że jesteśmy świadkami powrotu antysemityzmu, nawet jeśli wrogość wobec izraelskiego państwa wynika dzisiaj w dużej mierze z jego działań. Istnieje ryzyko, że fala ta roznieci atmosferę podejrzliwości i nienawiści, która zatruje przestrzeń publiczną w naszym kraju.

Czy polski Kościół będzie w stanie ją powstrzymać, czy raczej ją wzmocni? Nie można też wykluczyć scenariusza, w którym list przyczyni się do swego rodzaju schizmy. W gruncie rzeczy dokonuje się ona po cichu od kilkunastu lat, lecz pewnie nikt się nie spodziewał, że powodem ostatecznego rozłamu staną się relacje między chrześcijaństwem a judaizmem. Czas pokaże, jak się rozwinie sytuacja; na razie pozostaje mi czekać na relacje z wielkopiątkowych nabożeństw i ze scenografii Grobów Pańskich. ©℗

Autor jest publicystą, doktorem nauk ekonomicznych,
adiunktem w Katedrze Stosunków Międzynarodowych UEK,
członkiem Polskiej Sieci Ekonomii i ekspertem Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego

eprasa.pl aa0abfcd7b

Historia

FOT. UNDERWOOD ARCHIVES/ARCHIVE PHOTOS/GETTY IMAGES

Marsz Ku Klux Klanu w Waszyngtonie. 13 września 1926 r.

Antysemityzm w krainie wolności

Bardzo długo nastroje antyżydowskie w Stanach Zjednoczonych były w porównaniu z Europą czymś zupełnie marginalnym

Andrzej

Krajewski

Sondaże prowadzone w USA od końca II wojny światowej pokazywały, iż niechęć do osób pochodzenia żydowskiego nieustannie maleje. Znamienne było, że najwięcej uprzedzeń okazywali ludzie starsi. Ale przeprowadzone przez Center for Antisemitism Research dla Anti-Defamation League (ADL) w 2024 r. badanie ukazało odwracanie się trendu. Powstała w celu stawiania czoła antysemickim nastrojom organizacja zaczęła alarmować, iż w Stanach Zjednoczonych najwięcej niechęci Żydom okazuje młode pokolenie Amerykanów.

Obserwację tę potwierdzają wyniki badań przeprowadzonych na kampusach 150 wyższych uczelni w USA, a ogłoszone przez ADL 10 marca 2026 r. „Prawie połowa (48,3 proc.) studentów nieżydowskiego pochodzenia zgłosiła iż była świadkiem lub doświadczyła zachowań antyżydowskich w ciągu ostatniego roku, a 47,6 proc. poparło co najmniej jedną postawę antyżydowską" – zapisano w podsumowaniu raportu.

Tymczasem brutalne działania Izraela w Strefie Gazy i szykujący się najazd na Liban mogą tylko wzmacniać nastroje antyżydowskie w Ameryce. Zwłaszcza jeśli potwierdzi się, iż to premier Binjamin Netanjahu nakłonił Donalda Trumpa do rozpoczęcia wojny z Iranem. Coraz więcej czynników składa się na to, by antysemityzm po 100 latach znów w Ameryce rozkwitł.

Jeden zlinczowany Żyd

Leo Frank mógł uchodzić za wzorzec Amerykanina pochodzenia żydowskiego. Jego przodkowie kilka pokoleń wcześniej osiedlili się w Stanach Zjednoczonych. On sam dorastał w Nowym Jorku, studia kończył na prestiżowym Uniwersytecie Cornella. Już jako dyplomowany inżynier przeniósł się na południe USA, do Atlanty. Młody, dobrze wykształcony szybko objął posadę dyrektorską w produkującej materiały biurowe National Pencil Company. Jak na przykładnego obywatela przystało angażował się także w działalność społeczną. W 1910 r. wybrano go na prezesa oddziału żydowskiej organizacji B'nai B'rith.

Kariera dobiegającego trzydziestki Leo Franka układała się fantastycznie aż do feralnego kwietniowego dnia. „Około południa w sobotę, 26 kwietnia 1913 r., 13-letnia dziewczynka została obrabowana i zamordowana, ale prawdopodobnie nie wykorzystana seksualnie, w National Pencil Factory, gdzie pracowała"– opisuje w opracowaniu „The Leo Frank Case" Donald E. Wilkes. „Zbrodnia wywołała ogromne poruszenie i oburzenie opinii publicznej, podsycane masą sensacyjnych artykułów w gazetach" – dodaje.

Policja szybko aresztowała czarnoskórego fabrycznego stróża. Ten obciążył Franka – miał on zamordować Phagan w swoim gabinecie. Choć zeznania dozorcy nie były spójne, podchwyciły je lokalne gazety. Zaczęto też opisywać, jak młody dyrektor molestował podwładne. Wkrótce oburzenie mieszkańców Atlanty zaczęło zmieniać się w nienawiść skierowaną nie tylko przeciwko dyrektorowi, lecz także wszystkim Żydom. „Nastroje antysemickie były naturalnym rezultatem przekonania, że Żydzi zjednoczyli się, aby uwolnić Franka, nie-

eprasa.pl aa0abfcd7b

winnego czy winnego. Rzekoma solidarność Żydów z Frankiem, nawet jeśli był winny, wywołała solidarność nie-Żydów przeciwko niemu" – donosił 12 października 1913 r. „The New York Sun".

Ponoć iskrą, która rozniecіła nienawiść, była wypowiedź obrońcy Franka. Nazwał on zamordowaną „niczym więcej niż dziewczyną z fabryki". Ale to była biedna dziewczynka z Atlanty, zaś o mord podejrzewano bogatego Żyda z Nowego Jorku. „Zdominowany przez tłum, trwający miesiąc proces w Sądzie Najwyższym Hrabstwa Fulton w lipcu i sierpniu 1913 r. był najdłuższym procesem karnym w historii Georgii i zakończył się skazaniem go [Franka – red.] na karę śmierci" – opisuje Wilkes.

Zgromadzone pod budynkiem sądu tłumy i lokalne media powitały wyrok wybuchem entuzjazmu. Ale obrona podjęła próbę apelacji, wskazując na nieprawidłowości proceduralne i brak jednoznacznych dowodów winy oskarżonego. Sprawa trafiła aż do Sądu Najwyższego USA. Ten wyrok utrzymał i wyznaczył datę egzekucji na 22 czerwca 1915 r. Choć wątpliwości co do tego, kto naprawdę zamordował Mary Phagan, mnożyły się. „Dzień przed planowaną egzekucją gubernator Georgii zamienił wyrok na dożywocie, a Franka przeniesiono do więzienia stanowego" – relacjonuje Wilkes.

Jednak mieszkańcy stanu uznali odwołanie egzekucji za rażącą niesprawiedliwość. „W nocy z 16 na 17 sierpnia 1915 r. grupa 25 mężczyzn (...), rozgniewana zamianą kary i zdeterminowana, by mimo wszystko wykonać wyrok śmierci, pojechała do więzienia samochodami, włamała się, obezwładniła strażników, pojmała Franka, zawiozła go do hrabstwa Cobb (gdzie kiedyś mieszkała i gdzie została pochowana zamordowana dziewczyna) i go zamordowała" – opisuje Wilkes.

Powieszenie dyrektora na gałęzi drzewa, twarzą w stronę domu, w którym dorastała Phagan, zamknęło jedną tragedię i dało początek nowym. W krótkim czasie ponad 3 tys. Żydów opuściło Georgię, bojąc się pogromów podobnych do tych, jakie regularnie wybuchały w Rosji. Jednocześnie popularny kaznodzieja William J. Simmons przystąpił do reaktywowania Ku Klux Klanu. Chcąc za pomocą strzelb i szubienic dyscyplinować czarnych oraz pozbyć się z południowych stanów Żydów. Po dekadach spokoju codzienne życie Żydów w USA zaczęło się radykalnie zmieniać.

Tolerowana mniejszość

Różnica między Starym a Nowym Światem była dla Żydów równie ogromna, jak ta w warunkach lokalowych, którymi mogli się cieszyć Mayer Amschel Rothschild oraz Luis Moses Gomez. Pierwszy z bogaczy urodził się za murami getta we Frankfurcie nad Menem. Jeszcze w średniowieczu władze miejskie wydzieliły dla Żydów obszar, na którym wolno im było zamieszkać. Getto miało długość 330 m i szerokość 5 m. Upchnięto w nim kilka tysięcy Izraelitów. Rothschild całe życie pomnażał bogactwo, by synowie mogli żyć normalnie, poza tą klaustrofobiczną przestrzenią. Z kolei ten drugi wyniósł się z Hiszpanii, dorobił na handlu i zakupił w 1714 r. grunt o powierzchni 6,9 tys. akrów (ok. 28 km kw.) pod Nowym Jorkiem. W swojej posiadłości wzniósł okazały dom, a potem jeszcze ufundował pierwszą nowojorską synagogę.

Nic dziwnego, że dla Żydów Stany Zjednoczone zaczęły się jawić jako nowa ziemia obiecana. Za Atlantykiem mogli swobodnie zajmować się handlem i bankierstwem. Nikt nie ograniczał ich swobód obywatelskich i nie planował zamykać w getcie. Jako najbardziej dotkliwy przepis o wymowie antysemickiej historycy przytaczają rozkaz gen. Ulyssesa Granta z 17 grudnia 1862 r. Prowadząc działania przeciwko wojskom Południa, nakazał on wypędzić wszystkich Żydów z opanowanych właśnie obszarów zachodniego Tennessee. Jak twierdził, są „grupą naruszającą wszelkie regulacje handlowe ustanowione przez Departament Skarbu". Wkrótce potem prezydent Lincoln anulował decyzję sławnego dowódcy, bo uznał ją za niezgodną z konstytucją USA. Co ciekawe, gdy w 1868 r. Grant kandydował na prezydenta, przeprosił za dawny rozkaz żydowskich wyborców. Tłumacząc się, iż uległ emocjom, co jest zrozumiałe podczas wojny.

W tym samym czasie w Europie, po stuleciu względnej tolerancji, zaczęły się nasilać nastroje antysemickie. Podsycił je światowy kryzys ekonomiczny, który rozpoczął się w 1873 r., i rosnąca popularność partii socjalistycznych i komunistycznych postrzeganych przez konserwatystów jako ruchy polityczne zdominowane przez Żydów. Cieszące się ogromną popularnością książki „Die Juden und das Wirtschaftsleben" Wernera Sombarta i „La France Juive" Édouarda Drumonta budowały zręby nowoczesnego antysemityzmu. Przekonując czytelników, iż Żydzi są „obcymi ciałami" dla narodów niemieckiego i francuskiego. Co gorsza, Izraelici spiskują, by pomnażać bogactwo i polityczne wpływy, doprowadzając tak inne narody do upadku moralnego oraz ekonomicznego.

„Przez cały ten czas w Stanach Zjednoczonych nie było antysemityzmu jako ruchu kulturalnego, politycznego ani ekonomicznego" – twierdzi w monografii „Anti-Semitism in the United States: Its History and Causes" Lee J. Levinger. „Istniały jedynie religijne uprzedzenia wobec ortodoksyjnych [Żydów – red.] i społeczny ostracyzm elit w społeczeństwie nieżydowskim. Żydzi nie przyciągnęli nawet szczególnej uwagi różnych ruchów «antyobcych» ze względu na swoją niewielką liczebność i częstą, szybką amerykanizację. Wydawało się, że antysemityzm był ruchem obcym dla amerykańskiego życia i instytucji" – dodawał.

Faktycznie, pierwsza organizacja, jaka zawiązała się w USA pod koniec XIX w., by prowadzić walkę z „obcymi ciałami w narodzie" – American Protective Association (APA) – zupełnie ignorowała Żydów. Ponad 100 tys. jej członków domagało się zamknięcia Stanów Zjednoczonych na napływ katolików. Podejrzewano bowiem, że z woli papieża pragną przejąć kontrolę nad USA.

Ale obiekt uprzedzeń wkrótce zaczął się zmieniać. Według Biura Imigracyjnego przy Departamencie Handlu i Pracy USA w latach 1900–1924 osiedliło się w USA ok. 1,75 mln osób pochodzenia żydowskiego. Wzrost ich liczby w dużych miastach wzbudził niepokój uboższych, bo emigrantów traktowano bowiem jako konkurentów ekonomicznych. Równocześnie do USA zaczęły przenikać z Europy antysemickie idee, wraz z towarzyszącymi im teoriami spiskowymi. Popularnością cieszyły się „Protokoły mędrców Syjonu", sprokurowane przez carską policję polityczną. Wiara w żydowski spisek padła na coraz podatniejszy grunt.

Antyżydowska Ameryka

Coś, co bardzo długo buzowało podskórnie, w końcu wybuchło przy okazji sprawy Leo Franka. Gdy trwał proces prezesa oddziału B'nai B'rith w Atlancie, członkowie tej organizacji dostrzegli, iż Stany Zjednoczone w szybkim tempie upodabniają się do Europy. Chcąc temu zapobiec, we wrześniu 1913 r. powołali Anti-Defamation League. Zadaniem stowarzyszenia stało się monitorowanie antysemickich incydentów, nagłaśnianie ich oraz wywieranie presji na media, polityków i wymiar sprawiedliwości, by sprawcy przestępstw ponosili sprawiedliwą karę.

Osiąganie tego było stosunkowo łatwe wobec tych, którzy uciekali się do przemocy – wówczas amerykańskie prawo okazywało się skuteczne. Dlatego wcale nie był największym zagrożeniem dla Żydów wściekle antysemicki KKK, choć w latach 20. XX w. w jego szeregi wstąpiło ok. 6 mln białych Amerykanów. Organizacja sięgała po przemoc, a jej przywódcy okazywali się łasi na pieniądze i skorzy do pełniania przestępstw. Przez kilka lat informowały o tym opinię publiczną gazety, aż wreszcie nastąpił przełom po tym, jak przywódca Ku Klux Klanu David Curtiss Stephenson w 1925 r. porwał i zgwałcił Madge Oberholtzer. Pracownica stanowego departamentu edukacji złożyła obciążające go zeznania i popełniła samobójstwo. Stephensona przed wyrokiem śmierci ocaliło ujawnienie listy wysokiej rangi urzędników, opłacanych przez KKK. Ostatecznie trafił do więzienia na 31 lat. Podobnie jak w przypadku procesu Leo Franka Amerykanie zareagowali emocjonalnie. Przytłaczająca większość członków opuściła szeregi Ku Klux Klanu i stał się on symbolem wszystkiego, co w Stanach Zjednoczonych najgorsze.

Kompromitacja rasistowskiej organizacji i fala aresztowań jej przywódców nie oznaczały, że Żydzi mogli w USA odetchnąć z ulgą. Pacyfikowanie bandytów było na dłuższą metę o wiele łatwiejsze niż radzenie sobie z gwarantowaną przez konstytucję wolnością słowa. Na początku lat 20. nastąpił wysyp publikacji mówiących o tym, że Żydzi są zagrożeniem dla porządku społecznego i stabilności ekonomicznej kraju. Podobnie jak w Europie alarmowały one, iż osoby pochodzenia żydowskiego zdominowały bankowość i handel, tak przejmując kontrolę nad całą gospodarką oraz życiem politycznym i prasą.

W tym czasie zaciekłą walkę ze wszystkim co semickie rozpoczął właściciel największego koncernu motoryzacyjnego świata. „Najbardziej rzucający się w oczy był długi cykl artykułów na temat problemu żydowskiego, opublikowany w «Dearborn Independent», organie prasowym pana Henry'ego Forda" – odnotował Levinger. Przemysłowy potentat otworzył łamy wydawanej przez siebie gazety dla autorów opisujących wszelkie przejawy dążenia Żydów do zdobycia władzy nad światem. Ford sam często chwytał za pióro, chcąc się podzielić swoimi antysemickimi przemyśleniami. Artykuły z „Dearborn Independent" były potem przedrukowywane w formie broszur i dzięki temu docierały do jeszcze większej liczby czytelników.

Punktem kulminacyjnym stało się wydanie przez Forda czterotomowego dzieła „The International Jew" w nakładzie pół miliona egzemplarzy. Organizacje żydowskie na czele z ADL odpowiedziały pozwami o zniesławienie i z czasem zaczęły wygrywać procesy. Konieczność publicznych przeprosin i wypłat zadośćuczynienia skłoniły Forda do zamknięcia w 1927 r. „Dearborn Independent". Jednocześnie przemysłowiec stał się wielkim admiratorem Adolfa Hitlera.

Antysemickie publikacje Forda przynosiły realne zmiany. W USA nie dochodziło do antyżydowskich pogromów i nie wprowadzono antysemickich ustaw, jednak na uczelniach zaczęto realizować w praktyce postulat limitu przyjęć studentów pochodzenia żydowskiego. Również w państwowej administracji, choć było to wbrew prawu, po cichu blokowano zatrudnianie Żydów. Zaostrzono też politykę migracyjną, aby skutecznie uniemożliwić osiedlanie się w Stanach Zjednoczonych emigrantów o żydowskich korzeniach. Z każdym rokiem działania te się nasilały.

Dodatkowo przyczynił się do tego Wielki Kryzys. O jego wywołanie zaczęto obwiniać Żydów. Celował w tym katolicki ksiądz Charles Coughlin. W prowadzonej przez siebie audycji radiowej gorąco wspierał Franklina D. Roosevelta i jego New Deal, a jednocześnie atakował wszystko, co związane z giełdą oraz Żydów. Audycje pełne antysemickich tyrad słuchało nawet 12 mln Amerykanów. Zaś wydawany przez Coughlina tygodnik „Social Justice" kupowało ok. 800 tys. czytelników.

Kiedy prześladowania Żydów w nazistowskich Niemczech osiągnęły apogeum w 1938 r., w Kongresie powstał projekt, by specjalną ustawą pozwolić uchodźcom z III Rzeszy osiedlić się w USA. Wówczas Coughlin zorganizował w Nowym Jorku marsz pod hasłem: „Odesłać Żydów z powrotem, skąd przybyli". Maszerujący, skandując je, dodawali: „w dziurawych łodziach".

W maju 1939 r. ku wybrzeżom Ameryki popłynął błąkający się po świecie statek „St. Louis", z ponad 900 żydowskimi uciekinierami z III Rzeszy na pokładzie. W obawie przed reakcją opinii publicznej prezydent Roosevelt nie zgodził się, by pasażerowie wysiedli na Kubie. I tym bardziej nie pozwolił im zejść na ląd w USA. „St. Louis" zawrócono w stronę Europy, gdzie na pasażerów czekała zagłada. Stany Zjednoczone były wówczas już bardzo antysemickim krajem. Zmieniła to dopiero II wojna światowa. ©℗

Więcej niż gazeta! Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl aa0abfcd7b

Od znaku śmierci do znaku zwycięstwa

Jest jednym z najprostszych, a jednocześnie najbogatszych w znaczenia symboli w historii świata. Zaczynał jako narzędzie okrutnej śmierci, aby stać się synonimem triumfu i odwagi

Sebastian

Pawlina

W Wielki Piątek 1787 r. w Oratorio de la Santa Cueva w Kadyksie po raz pierwszy zabrzmiało „Siedem ostatnich słów Chrystusa na krzyżu" Josepha Haydna. Najstarszy z trójki wiedeńskich klasyków tak wspominał później premierę dzieła, które rok wcześniej zamówił u niego Don José Sáenz de Santa María: „Mury, okna i kolumny katedry były pokryte czarną tkaniną, wielka lampa wisiała w centrum, oświetlając mistyczną ciemność. O północy drzwi katedry zostały zamknięte i orkiestra zaczęła grać. Biskup stanął za pulpitem, wypowiedział pierwszą z fraz z komentarzem, opadł na kolana przed ołtarzem i przeżywał. Biskup wstawał i klękał tak siedem razy i za każdym razem orkiestra grała po jego komentarzu".

Główna część utworu składa się z siedmiu sonat skupionych wokół siedmiu zdań wypowiedzianych przez Jezusa na krzyżu. Każde z nich pochodzi z jednej z czterech Ewangelii. To kolejno „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią!", „Zaprawdę, powiadam ci, dziś ze mną będziesz w raju", „Niewiasto, oto syn Twój. Oto Matka twoja", „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?", „Pragnę", „Wykonało się!" i ostatnie: „Ojcze, w Twoje ręce powierzam ducha mojego". Dzieło zamyka zaś potężne „Il Terremoto", czyli „trzęsienie ziemi", opisywane w Ewangelii wg św. Mateusza: „Wtedy zasłona przybytku rozdarła się na dwoje od góry do dołu, ziemia zadrżała, skały zaczęły pękać. Otwarły się groby i wiele ciał świętych, którzy umarli, powstało" (wszystkie cytaty z Nowego Testamentu wg Biblii Pierwszego Kościoła).

Haydn za napisanie dzieła otrzymał... ciasto – wypełnione złotymi monetami. Ale to był dopiero początek sukcesu. W krótkim czasie stworzył kilka nowych wersji, a oratorium zagrano w Paryżu, Wiedniu, Rzymie, Londynie. Sukces zawdzięczało bezsprzecznej jakości opartej na prostocie i emocjach. Utwór trzyma w napięciu od pierwszego do ostatniego taktu, a przecież historię, którą opowiada, zna przecież prawie każdy w naszym kręgu kulturowym.

Choć opowieść o ukrzyżowaniu jest pełna wstrząsających szczegółów, krzyż jest dzisiaj odczytywany pozytywnie. Jako symbol zwycięstwa, pamięci i poświęcenia. Ale nie od początku tak było.

Perski wynalazek

Ukrzyżowanie znano na długo przed wydarzeniami z Golgoty, jego twórcami zaś byli prawdopodobnie Persowie. Na pewno to oni wprowadzili ten rodzaj śmierci na scenę dziejów. Pierwszą znaną ofiarą krzyża był w 522 r. p.n.e. Polikrates, tyran z Samos, leżącej u wybrzeży Azji Mniejszej wyspy na Morzu Egejskim. W trzeciej księdze „Dziejów" Herodot opowiada, jak to Orojtes, z niewyjaśnionych powodów nienawidzący Polikratesa perski namiestnik miasta Sardes, zwabił go podstępnie, a następnie „kazał [...] w niedający się opisać sposób pozbawić życia, a potem przybić na krzyżu".

W pierwszych latach V w. p.n.e. na dworze rządzącego Persją króla królów Dariusza I Wielkiego do znacznej pozycji doszedł Histiajos, Grek, tyran Miletu. Gdy pewnego razu władca wysłał go z ważną misją, ten przeszedł na stronę przeciwnika. Niestety dla siebie dostał się w ręce Artafernesa, królewskiego brata i namiestnika Sardes, który, nie zastanawiając się długo, rozkazał powiesić go na krzyżu, głowę odciąć, zabalsamować i odesłać

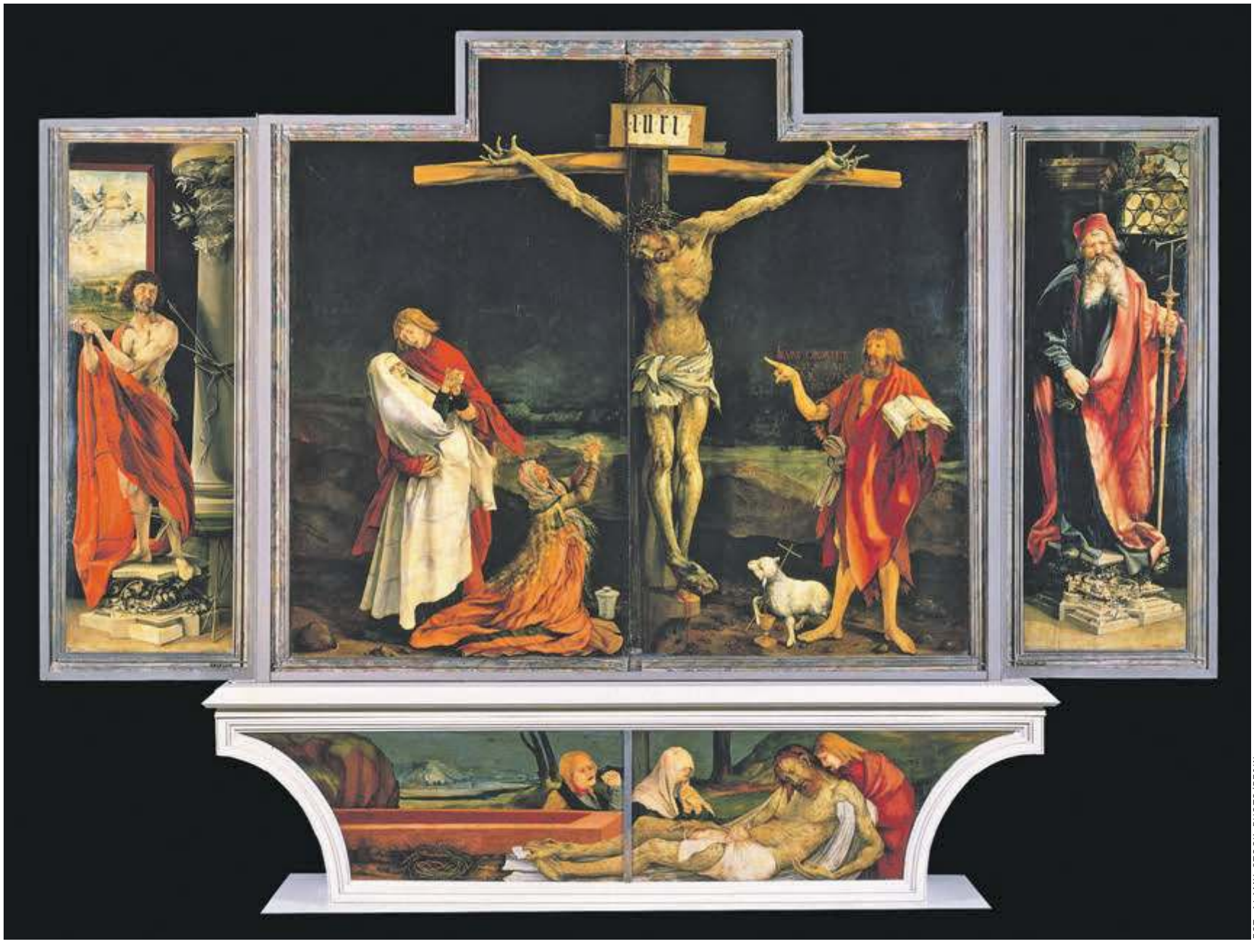

Matthias Grünewald, Ołtarz z Isenheim (Niemcy), ok. 1510–1515

FOT. ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

eprasa.pl aa0abfcd7b

na dwór królewski. Zamiast pochwały za ukaranie zdrajcy został jednak zganiony przez brata, który wytknął mu, że nie dostarczył Histiajosa żywego. Nie chodziło o to, że Dariusz osobiście chciał skazać Greka na śmierć, ale prawdopodobnie o to, że w dowód uznania wcześniejszych zasług planował mu wybaczyć. Ostatecznie pozostało mu jedynie polecić umycie głowy i pochowanie jej z godnością.

Dariusz nie zawsze bywał tak wyrozumiały. Skazał na śmierć przez ukrzyżowanie egipskich lekarzy, których jedyną winą było to, że nie potrafili go uleczyć. W ostatniej chwili uratował ich jeden z przyjaciół władcy.

Globalizacja

Niezależnie od epoki wojny były i są traktatami handlowymi oraz targami innowacji na sterydach. Przyspieszają wymianę myśli, towarów, technologii, ale przede wszystkim – sposobów na zabijanie. To właśnie one sprawiły, że kolejne kultury i państwa przyjmowały krzyż ze wszystkimi jego funkcjami. Korzystali z niego Grecy, Fenicjanie, Kartagińczycy. Przeglądając starożytne źródła, z łatwością można zauważyć, że istny rozkwit krzyży jako narzędzia terroru nastąpił w ostatnich dwóch stuleciach przed narodzinami Chrystusa, co wiązało się z wysoką częstotliwością buntów. Częstą scenerią tych wydarzeń była Judea.

W 169 lub 168 r. p.n.e. Antioch IV Epifanes, król Syrii, zajął Jerozolimę, którą następnie postanowił zhellenizować. Do zadania zabrał się z entuzjazmem – i bezwzględnością. W krótkim czasie nie tylko ograbił Świątynię Jerozolimską, zamieniając ją następnie na miejsce kultu Zeusa, lecz także wydał wiele zakazów kultywowania żydowskich tradycji, wśród nich obrzezania czy też obchodzenia szabatu. Tych, którzy nie usłuchali poleceń, skazywano na tortury. Mężczyzn chłostano i przybijano do krzyży, kobiety i dzieci zaś duszono, po czym najmłodsze zawieszano na szyjach ukrzyżowanych ojców.

Kilkadziesiąt lat później w toczącą się tam wojnę domową wmieszał się praprawnuk brata Antiocha IV. Miał jednak mniej szczęścia od swojego przodka. Przegrał bowiem z królem Judei Aleksandrem Jannajem. Ale o prawdziwym pechu mogła mówić zbuntowana lokalna ludność, pozostawiona na pastwę zwycięskiego władcy, który nawet jak na ówczesne standardy był wybitnie okrutny. Józef Flawiusz, żydowski historyk żyjący w I w. n.e., w „Dawnych dziejach Izraela" podał, że gdy tamten uczto-wał w gronie nałożnic, jego żołnierze ukrzyżowali 800 mężczyzn i zamordowali ich najbliższych, ale tak, żeby tamci wszystko widzieli. Po tym Aleksander otrzymał przydomek „Trakidas", co oznaczało człowieka o trackich, czyli dzikich obyczajach.

Rzymska specjalizacja

Wieści o tych wydarzeniach niewątpliwie dotarły do Rzymu i raczej nikogo nie zszokowały. Nad Tybrem znano już wówczas ukrzyżowanie jako metodę na upokorzenie przeciwnika. Potomkowie Romulusa nabyli tę wiedzę prawdopodobnie od Kartagińczyków, w trakcie wojen punickich. Szybko dowiedli, że wszystko, co związane z zabijaniem, są w stanie wznieść na nieznany wcześniej poziom. Po zwycięstwie nad armią niewolników w wojnie znanej jako powstanie Spartakusa mieli uśmiercić w ten sposób 6 tys. pojmanych, ustawiając krzyże wzdłuż najważniejszej drogi starożytnego Rzymu – Via Appia. Historycy nie są jednak pewni, czy faktycznie chodziło o ukrzyżowanie, czy raczej o powieszenie. Pierwsza z metod była trudniejsza logistycznie w realizacji.

Takich wątpliwości nie ma jednak ponownie w odniesieniu do Judei. Po śmierci Heroda Wielkiego w 4 r. p.n.e. ludność zbuntowała się przeciwko obecności Rzymian. Stłumienie powstania spadło na Publiusza Kwinktyliusza Warusa, namiestnika Syrii, który kilkanaście lat później straci legiony i życie w Lesie Teutoburskim. Tym razem jeszcze to on był górą. Rozbił wojska wroga, a 2 tys. najbardziej aktywnych rozkazał ukrzyżować.

W tamtym czasie karę tę stosowano wobec ludzi niskiego stanu, głównie niewolników, ale też buntowników i ludzi niemających rzymskiego obywatelstwa. Gdy w połowie I w. n.e. Rzymianie w Jerozolimie zaczęli przybijać do krzyży Żydów mających status obywateli Rzymu, wywołało to wśród lokalnej społeczności oburzenie. Niewiele później, już podczas wojny żydowskiej toczonej między Rzymianami a Żydami od 66 do 73 r. n.e., dowodzący oblężeniem Jerozolimy konsul Tytus Flawiusz polecił zabijać w ten sposób schwytanych obrońców. Miał nadzieję, że ten widok skłoni ich towarzyszy za murami do poddania się. Efekt okazał się przeciwny do zamierzonego. Tamci z obawy, że spotka ich ten sam los, jeszcze bardziej utwierdzili się w słuszności kontynuowania walki.

Nie tylko w prowincjach, lecz także w samym Rzymie dochodziło do masowych egzekucji wykonywanych przez ukrzyżowanie. Po pożarze miasta w 64 r. n.e. cesarz Neron, chcąc odsunąć od siebie podejrzenia o podpalenie, odpowiedzialnością obarczył chrześcijan. Jako wyznawcy religii uznawanej wówczas za szkodliwy zabobon doskonale się nadawali do tego, aby to na nich skierować gniew tłumu. Tacyt pisał więc później w swoich „Rocznikach", że „podstawił Neron winowajców i dotknął najbardziej wyszukanymi kaźniami tych, których znienawidzono dla ich sromot, a których gmin chrześcijanami nazywał. (...) Schwytano więc naprzód tych, którzy tę wiarę publicznie wyznawali, potem na podstawie ich zeznań ogromne mnóstwo innych, i udowodniono im nie tyle zbrodnię podpalenia, ile nienawiść ku rodzajowi ludzkiemu. A śmierci ich przydano to urągowisko, że okryci skórami dzikich zwierząt, ginęli rozszarpywani przez psy albo przybici do krzyżów [albo przeznaczeni na pastwę płomieni i], gdy zabrakło dnia, palili się, służąc za nocne pochodnie" (przeł. Seweryn Hammer).

Droga krzyżowa

Masowe wieszanie na krzyżu, choć jako najbardziej szokujące najwyraźniej obecne w źródłach, nie było w rzeczywistości przesadnie częste. Codziennością tej kary były wyroki wydawane na pojedyncze osoby. Miała ona jednak punkt styczny z tymi zbiorowymi egzekucjami – publiczne wykonanie. Gwarantowało to zarówno dodatkowe upokorzenie skazanego, jak i element dyscyplinujący wobec świadków. Władza mówiła w ten sposób: patrzcie, co was czeka, jeśli będziecie postępować wbrew prawu. Przy czym prawo oznaczało po prostu rządzących.

Kara rozpoczynała się jeszcze przed wbiciem gwoździ w skórę, ścięgna, kości i drewno. Jako pierwsze padały słowa „pone crucem servo", czyli „włóż krzyż na niewolnika", będące faktycznym ogłoszeniem wyroku śmierci. Od tego momentu wszystko powinno przebiec jak najszybciej. Jedynie święta i noc stanowiły uzasadnioną przeszkodę w egzekucji.

Na początek przywiązywano skazanego do pala i okładano rzemiennym biczem, zakończonym kawałkami kości albo haczykami. Po skończonej torturze podnoszono nieszczęśnika, o ile ten jeszcze żył, bo niekiedy się zdarzało, że wykrwawiał się po biczowaniu, i nakładano mu na ramiona patibulum, poprzeczną belkę krzyża. Wbrew powszechnym wyobrażeniom o drodze krzyżowej Chrystusa skazaniec nie niósł całego krzyża, który ważył nawet 140 kg. Ten jeden element, który wkładano mu na barki, i tak osiągał wagę ponad 50 kg. Gdy dźwigając go, szedł na miejsce swojej śmierci, przed nim postępował dowodzący oddziałem egzekucyjnym centurion, a także herold. Często niósł w rękach tabliczkę nazywaną titulus, z wypisaną na niej winą skazańca. Tak było w przypadku Jezusa, czego dowód znajdujemy w Ewangelii wg św. Jana: „Piłat kazał wypisać tytuł i umieścić go na krzyżu. Napisane było: «Jezus z Nazaretu, Król Judejczyków». Ten tytuł przeczytało wielu Judejczyków, ponieważ miejsce, gdzie Jezus został ukrzyżowany, było blisko miasta. A napisane było po hebrajsku, po łacinie i po grecku. Arcykapłani judejscy powiedzieli Piłatowi: «Nie każ pisać: Król Judejczyków, lecz tak: On powiedział: Jestem królem Judejczyków». Piłat odrzekł: «Com napisał, napisałem»".

Po dotarciu na miejsce „dali Mu do wypicia wino zmieszane z żółcią", pisał św. Mateusz w swojej Ewangelii. Do wina dodawano mirrę, czasami był to sam ocet. Napój taki miał zmniejszać odczuwany ból, co przydawało się skazańcowi. Kolejnym krokiem było bowiem przybicie do krzyża. Istniały co najmniej dwie techniki. Pierwsza polegała na przybiciu rąk do belki poprzecznej, a dopiero później zamocowaniu jej na części pionowej. W drugiej przywiązywano człowieka do patibulum, które łączono ze stipes crucis albo staticulum, jak wymiennie nazywano większą część krzyża. Dopiero potem przybijano ręce i nogi. Gwoździe wykorzystywane do tego miały po kilkanaście centymetrów.

Gdy krzyż wraz ze swoją ofiarą stanął, rozpoczynało się czekanie – na śmierć. Niektórzy umierali w ciągu kilku godzin, ale zdarzały się przypadki kilkudniowego konania. Czasem, jeśli chciano pomóc skazańcowi szybciej umrzeć, łamano mu nogi. Sprawiało to, że jego ciało mocniej się napinało, co utrudniało oddychanie, a w końcu prowadziło do zgonu. Bywało jednak i tak, że do krzyża była przybita dodatkowo mała „półeczka" pod nogami powieszonego zwana suppendaneum. Ten, mogąc się na niej oprzeć i zaczerpnąć powietrza, przedłużał nieświadomie swoje cierpienie.

Znak krzyża

Krzyż długo był znakiem, którego wykorzystywania w symbolice religijnej unikano. Brało się to z oczywistych dla współczesnych skojarzeń. W „Pierwszym Liście do Koryntian" czytamy: „I gdy Judejczycy domagają się znaków, a Hellenowie szukają uczoności, my głosimy Chrystusa ukrzyżowanego: dla Judejczyków zgorszenie, dla pogan głupotę".

Jak w książce „Krzyż. Historia odkrywana w dziejach sztuki" zauważa o. Eugeniusz Grzywacz SP, historyk sztuki, w sztuce pierwszych wieków po Chrystusie trudno znaleźć wizerunki krzyża, choć pojawiają się, jeszcze niewielkich rozmiarów, jak w katakumbach w Rzymie. „Lampki niekiedy oznaczano małym krzyżykiem, pług czy lemiesz rysowano jako dwie przecinające się linie, a żagle statku oddawano w taki sposób, by przypominały skrzyżowanie pionowej i poziomej belki. (...) W malarstwie katakumbowym spotykamy też słynne postaci orantów – osób modlących się z rozłożonymi ramionami. To także aluzja do krzyża Chrystusa" – stwierdza.

Sytuację zmieniło wydanie przez cesarzy Konstantyna Wielkiego i Licyniusza w 313 r. edyktu mediolańskiego, który pozwalał wyznawać chrześcijaństwo bez obaw. W dowód szacunku wobec Chrystusa zniesiono karę śmierci przez ukrzyżowanie. Jej miejsce zajęło powieszenie.

Od tego momentu zaczyna się historia krzyża zwycięskiego, ozdabianego złotem i kamieniami szlachetnymi. Do tego dołącza przedstawienie Chrystusa w Majestacie. Nie wisi na krzyżu, ale stoi, jest wyprostowany, nie widać też na nim śladów tortur ani cierpienia. Z czasem Jezus coraz bardziej przypomina postać znaną z opisów Ewangelistów – ma poranione ciało, znikają bogate szaty. Wszystkie te wersje miały jeden cel – udowodnić, że pokonał śmierć.

Ta tak powszechna dzisiaj narracja, czyniąca ze znienawidzonego narzędzia terroru opowieść o odwadze i poświęceniu, jest jedną stroną tej historii. Bo oczywiście krzyż jest wszędzie. Wykorzystuje się go w architekturze, sztuce, popkulturze, jest częścią tożsamości miliardów ludzi. Ale jednocześnie kryje w sobie te niewyobrażalne i nieprzeliczone cierpienia, zamknięte w słowach Jezusa: „Eli, Eli, lema sabachthani?", czyli „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił". A wszystko to zamknięte w dwóch przeciętych liniach. Prostych niczym ostatnie siedem słów Chrystusa. I potężnych jak trzęsienie ziemi. ©℗

Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

eprasa.pl aa0abfcd7b

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Co niszczy kryptowaluty

Rafał Woś

Kryptowaluty wywalczyły już sobie miejsce wśród ciekawszych form inwestowania. Jednak droga do tego, by stały się realną alternatywą dla klasycznego pieniądza, jest długa jak stąd do Jowisza i z powrotem. Przyczyną jest bardzo konkretna sprzeczność tkwiąca w modelu zdecentralizowanych finansów, którą opisał ekonomista Hyun Song Shin z Banku Rozliczeń Międzynarodowych z Bazylei: fragmentaryzacja. Jeśli zapoznacie się z jego argumentami, to stanie się dla was jasne, że kryptowalutom brakuje – właśnie! – owej ostatniej instancji, którą dla tradycyjnego pieniądza są banki centralne.

Zacznijmy od początku – od kopania kryptowalut. Za tą figurą językową kryje się pierwotny pomysł przypisywany twórcy bitcoina Satoshiemu Nakamoto. W kopaniu – jakże mozolnym, prawda? – chodzi o to, żeby z jednej strony zdecentralizować podaż bitcoina: żeby nie było jednego banku centralnego, który może tworzyć pieniądz z niczego. Z drugiej strony – aby nie dochodziło do sytuacji, w której każdy może sobie w kilka sekund wykopać tyle bitcoinów, ile chce. Aby zabezpieczyć system, powstał system cyfrowych walidatorów, którzy rywalizują między sobą o prawo do wykopania (de facto: emisji) kolejnych bloków (nowych jednostek kryptowaluty) w ramach modelu Proof of Work (PoW). Zwycięzca kopania (polegającego na komputerowym rozwiązywaniu kryptograficznych zagadek) otrzymuje nagrodę w postaci pewnej działki nowych bitcoinów.

Od kilku lat ten model emisji nie jest już jednak w świecie krypto jedynym obowiązującym. Owszem, bitcoiny nadal są kopane tradycyjnie, ale już np. inna kryptowaluta – ethereum, dokonała w 2022 r. ważnej rewolucji: PoW zastąpił model Proof of Stake (PoS). Tu przywilej emisji i nagroda są związane bardziej z tym, ile samemu już masz tokenów. Inne waluty (solana, BNB czy tron) poszły podobną drogą, tworząc własne warianty tego mechanizmu. W rezultacie zaczęły się tworzyć systemy kryptowalutowych oligarchii, gdzie o ilości pieniądza w obiegu decydują kluby ważniejszych użytkowników waluty.

Teraz czas na wyjaśnienie pułapki fragmentaryzacji. Aby kryptowaluty rosły w siłę, musi ich być więcej, bo inaczej podaż nie nadąży za popytem. A tylko w takiej sytuacji, co najmniej równowagi, do systemu dołączą kolejni użytkownicy. A im więcej ich będzie, tym większe prawdopodobieństwo, że będą się pojawiać kolejni. Aby podaż kryptowalut rosła, zyski z emisji muszą być realne. A nawet wyższe niż zyski z ograniczania podaży przez tych, którzy kryptowalutę już mają, bo przecież to oni w modelu PoS mają pierwszeństwo kopania, prawda? Ale im wyższe będą te zyski, tym wyższe także koszty kopania. I jeżeli koszty zbytnio urosną, to nastąpi migracja z jednej kryptowaluty do innej – tak działa prawo konkurencji. Kryptowalut ci dostatek. Im mniej użytkowników, tym łatwiej dobić się do prawa bycia emitentem – logiczne.

Ostateczną konsekwencją jest fragmentaryzacja rynku kryptowalut. One wzajemnie się nie wzmacniają, ale kanibalizują. A zjadają się dlatego, że nie mają rozwiązanej kwestii emitenta. A klasyczny pieniądz – z bankiem centralnym i bankami komercyjnymi – ma. I dlatego to klasyczny pieniądz rządzi. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

Polityka na sprzedaż. Lekcje z Czech i Litwy

Aleksandra Makarska

Autorka jest ekonomistką GRAPE

Zakłada się, że w przetargach publicznych najważniejsze są jakość oferty i atrakcyjna cena. Chodzi przecież o wspólne pieniądze – miliony, czy nawet miliardy, są wydawane na infrastrukturę, usługi lub sprzęt dla instytucji. Transparentne procedury mają zapewniać, że środki są wykorzystywane efektywnie i że zwycięzca nie jest wybierany po znajomości.

W praktyce wiele krajów boryka się z problemem braku przejrzystości podczas procedury przetargowej. Firmy, które mają kontakty polityczne lub finansowo wspierają ugrupowania rządzące, mogą mieć przewagę nad tymi, które takich powiązań nie mają. Zjawisko to może nie tylko zniekształcać rynek, lecz także prowadzić do marnotrawstwa.

Vitezslav Titl (Uniwersytet w Utrechcie) i Benny Geys (Handelshøyskolen BI) zbadali czeski rynek zamówień publicznych: wszystkie regionalne przetargi z lat 2007–2014 zestawili z danymi o wpłatach firm na partie. Wyniki pokazują, że te spółki, które zwiększały wpłaty o 10 proc., mogły w kolejnym roku liczyć na o 0,4–0,6 proc. wyższe kontrakty. Przykładowo darowizna 20 koron czeskich (ok. 1 dol.) przekładała się na średni wzrost zamówień o 2 tys. koron czeskich (ok. 100 dol.). Przy średniej rentowności firm na poziomie 9,5 proc. polityczne darowizny stawały się więc wyjątkowo opłacalną inwestycją.

Szczegółowe analizy wykazały, że efekt darowizn był silniejszy w mniej restrykcyjnych procedurach przetargowych. Firmy darczyńcy częściej zdobywały mniejsze kontrakty dzielone na części, co pozwalało obejść rygorystyczne zasady.

Litwa daje interesujący kontrast. Ekonomistka Audinga Baltrunaite (Bank Włoch) analizowała sytuację po reformie z 2012 r., która zakazała korporacyjnych wpłat na partie. Badanie obejmowało dane o przetargach rządowych i o darczyńcach, a także charakterystyki firm. Wyniki pokazały, że przed reformą spółki przekazujące darowizny były uprzywilejowane, prawdopodobnie dzięki lepszemu dostępowi do informacji o przetargach. Po wprowadzeniu zakazu ich przewaga zniknęła, a prawdopodobieństwo wygranej spadło średnio o 5 pkt proc. w porównaniu z przedsiębiorstwami, które nigdy nie finansowały stronnictw politycznych. Liczba ofert składanych w przetargach wzrosła, co sugeruje, że system stał się bardziej otwarty i przejrzysty.

Najważniejszym skutkiem były jednak korzyści fiskalne: eliminacja politycznych darowizn pozwoliła podatnikom zaoszczędzić niemal 1 proc. PKB. Zakaz wpłat korporacyjnych nie tylko ograniczył nadużycia, lecz także zwiększył efektywność wydawania publicznych środków i poprawił przejrzystość procedur.

Porównanie Czech i Litwy pozwala dostrzec dwa oblicza tego samego zjawiska: z jednej strony system, w którym polityczne darowizny stają się inwestycją o wysokiej stopie zwrotu, a z drugiej – rynek bardziej otwarty i przejrzysty po wprowadzeniu zakazu. Doświadczenia obu krajów pokazują, że polityka finansowania partii może znacząco wpływać na funkcjonowanie rynku zamówień publicznych. Oczywiście żadna regulacja nie jest idealna i zawsze pozostaje pytanie o skuteczność jej egzekwowania. Litewski przykład dowodzi jednak, że dobrze zaprojektowane reformy mogą zwiększyć przejrzystość i poprawić efektywność gospodarowania publicznymi środkami. ©℗

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn: Anna Masłoń (kierownik), Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie:
Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska, Marcin Mroziuk (tygodnik PiK), Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Urszula Mirowska-Łoskot, Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz, Izabela Rakowska-Boroń (tygodnik FiP)

projekt graficzny:
Marek Knap, Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter, Garmond Press, GLM, AS Press oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich;
℗ – znak odpłatności;
©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

eprasa.pl aa0abfcd7b